

# PRAWDY

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośzeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10

**Adres:** Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

**Administracja** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** *Polityka:* Promienie świtu II. — Z Austrii p. S. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* W pięknej willi p. W. Marrené. — *Sprawy ekonomiczne:* Konferencja berlińska p. K. R. Żywickiego. — *Badania naukowe:* Położenie filozofii u nas II. p. Władysława Kozłowskiego. — *Prawo do wojny* I. p. Meg. — *Rozwój etnologii* nowożytnej p. L. — *Językoznawstwo* p. J. F. Gajslera. — *Literatura i sztuka:* Listy wiedeńskie p. Stwosza. — *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Z. Atanazego. — O prawdę I. p. dr. F. N. Strzemińczyka. II. p. Maryę Rodziewiczównę. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

### POLITYKA.

#### PROMIENIE ŚWITU.

##### II.

Kiedy w r. 1806 podjęto myśl wystawienia pomnika ze składek publicznych Wiliamowi Pittowi, który przez dwadzieścia lat niemal wszechwładnie rządził Anglią, James Fox wypowiedział w Izbie gmin przeciw temu zamiarowi pamiętną mowę, którą Macaulay uważał za wzór politycznej mocy charakteru. Śmiało to wystąpienie przypominają obecnie wolnomysłne żywioły niemieckie, przeciwstawiające je projektowi uczczenia pomnikiem narodowym Bismarkiem. Co Fox mówił o Pittcie, to samo stosują one do byłego kanclerza: niepodobna wraz z człowiekiem sławić i hołdem obdarzać systemu, którego on był twórcą i który zasługuje na potępienie. Jakimkolwiek system ten był w swych dążeniach szczegółowych, czegokolwiek pragnął i dokonał, oddziaływał straszliwie, bo niszcząco, samą swoją zasadą — zasadą utożsamiania niepodobieństw i ścierania różnic, gwałcenia natury. Nieraz Bismark pojmował rzeczywistość i przekształcał ją rozumnie; ale rozciągając swą wolę aż do tych granic, do których sięgał siłą, przekraczał obręb zadań słusznych, obrzydzał i znieprawiał nawet istotne dobro. Obląkanym nazwalibyśmy człowieka, któryby uznawszy potrzebę kształcenia terminatorów ślusarskich w rysunkach mebli stylowych, chciał zmuszać do tego wszystkich ludzi; któryby pod równikiem zalecał odzież ludów z pod bieguny północnego; któryby wynajdywał środki tępiania filoksery tam, gdzie niema winnic; któryby woły karmił mięsem a psy sianem — itd. Tymczasem właśnie tak w swej polityce postępował Bismark. On rozmaitości w rodzaju ludzkim nie pojmował, nie znosił, nienawidził. Nie uznawał i nie tolerował ani odmiennych gatunków antropo-

logicznych i etnologicznych, ani typów kultury, ani obyczajów, przekonań, ideałów, wierzeń religijnych, nawet ortografii. Od kształtu czcionek (wyznał raz, że mu wstrętne wszelkie inne oprócz gotyckich) aż do urządzeń polityczno-społecznych, wszystko usiłował przerobić, przykrajając do swego gustu. Walczył z konserwatyzmem, liberalizmem, socjalizmem, katolicyzmem, wzdrygał się na właściwości angielskie, francuskie, gdzie mógł, tępił różnice już nie z rachuby, ale z instynktowej odrazy. Pomiędzy ludźmi jednego czasu i wspólnej części świata niema takich oddaleń w naturze, jak między zwierzętami; ale istnieją liczne, dla oka nieuchwytnie, mimo to trwałe i głęboko sięgające odrębności. Hanowce nie różni się od prusaka tak, jak wół od psa, jest on jednakże gatunkiem odmiennym. Sądziłby nader powierzchownie, kto by mniemał, że tyle razy ośmieszono i potępiono przez Bismarka dążności separatystyczne w Niemczech (których najdzielniejszym zapaśnikiem jest Windhorst) płynęły z płytkich życzeń przywrócenia tronu lub dawnej władzy jakiemuś strąconemu lub upośledzonemu księciu. W tym „provincjonalizmie“ wyraził się duch odrębności ludów, obrona swojskich postaci ich życia. Bismark był na to ślepy. Według niego rację bytu na świecie miał tylko prusak, a przedewszystkiem feodał pruski; pozostałe zaś żywioły ludzkie, o ile nie były potrzebne junkrowi pomorskiemu dla wygody, stanowiły rodzaj śmieci w Europie albo też szkodliwych zwierząt w gospodarstwie tego olbrzymiego folwarku, który powinien kiedyś przejść w posiadanie pruskie. To też cała jego polityka była wymiataniem tych śmieci i tępieniem tych zwierząt. Już nie rozumowanie, ale fantastyczny sen nie zdołałby wprowadzić do jego głowy pojęcia praw obcego narodu do życia tam, skąd pruski mógł go wyprzeć lub ujarzmić. Żadna mądrość nie byłaby w stanie przekonać go, że nad Renem powinna rozwijać się samorodna kultura od czasu, jak tam stoją korpusy pruskie. Z podobnych rozszczeń

i skarg on śmiał się tak szczerze, jak tygrys z gazeli, gdyby mu tłumaczyły, że mają prawo wraz z nim żyć w jednej okolicy.

Takie „normowanie“ i utożsamianie, poparte siłą, nie jest wyłącznie szkodą tych, których krzywdzi i gwałci: naraża ono bowiem na nieobliczone straty całą cywilizację, która największe zyski odnosi z rozmaitości uzdolnień, kierunków życia i pracy. Pomimo że ludzkość dokonała wiele, daleko mniejsze ma zdobycze, niż potrzeby i braki. Żaden zaś naród, żaden gatunek człowieczy nie dowiódł w historii i nie dowiedzie nigdy, ażeby on sam podołał wszystkim zadaniom życia, ażeby sam posiadał w swem łonie mądrość i dobro; przeciwnie, najdrobniejsze społeczeństwa przyjmowały udział w ogólnym postępie świata i z bogactwami go cennymi owocami swych talentów i trudów, a rozwój ludzkości wtedy szedł najprędzej, gdy jej rozmaitość była największą. Zniszczenie przeto najmniejszej, żywotnej gromadki ludzkiej, a nawet jednostki, stanowi szkodę nie tylko jej samej, ale wszystkich narodów, z którymi ona wspólnie pracuje. Polityka „realna“, którą udogmatyzował Bismark i dla której znalazł tytuł wyznawców, może sztydzić z doktrynerów, broniących prawa do życia odrębnych garstków ludzkich, może przedrwiwać ich sentymentalizm; w nich wszakże przecho-  
wuje się nie tylko szlachetność, ale i rozum. Natura stwarza ciągle rozmaitość, głupim przeto jest każdy, kto usiłuje zaprowadzić jednostajność.

Niemcy stękali pod brzemieniem militarizmu, ciężarów podatkowych i nadmier-  
nych ofiar dla podtrzymania zewnętrznej potęgi państwa, ale głównie gnębił i wyniszczał ich system „normowania“ wszelkich objawów życia według jednego modelu i tępiania koniecznych, przyrodzonych i historycznie uwarunkowanych jego odmian. Blask tryumfów politycznych kanclerza nie zasłonił im tej ciemnej prawdy, że cywilizacyjnie ubożają i dalej ubożać będą. Skoro więc odszedł twórca jednolitej komendy, na widnokręgu przyszłości zaświtała im



nadzieja, że odtąd żyć będą swobodniej, to znaczy — naturalniej, zgodniej z istotnymi pragnieniami. Czy cesarz Wilhelm, który ujął wodze kierownictwa państwowego po swym kanclerzu, osiągnie mocniej liberałów a puści leje konserwatystom, czy zrobi przeciwnie, czy objawi takie lub inne upodobania, w każdym razie nie będzie uważał swych poddanych za surowice, nie wrzuci ich w piec hutniczy, nie przetopi i nie odleje w formach jednakich, lecz pozwoli im żyć szczerze i rozwijać się we wszystkich kierunkach odrębności. W to wierzą Niemcy i ta właśnie wiara jaśnieje w ich nadziejach promieniami świtu.

## Z AUSTRYI.

Stosunki galicyjskie w komisji budżetowej. — Dyskusa nad zapomogą głodową w parlamencie. — Kto winien klęskę, wybory czy żydzi? — Nędza żydowska i wniosek posła Rappaporta w Kole polskiem. — Upadek fundacyi Hirschowskiej.

Jeżeli konstytucjonalizm w Austrii nie pod każdym względem wiedzie do tak rychłego i energicznego usuwania stosunków niesprawiedliwych i krzywdzących pewną część ludności, jak tego przykłady mamy w Anglii, jeżeli nie jest konstytucjonalizmem czynu, to jest, przynajmniej w całej pełni konstytucjonalizmem słowa. Mówić wolno w parlamencie i w komisjach z całą bezwzględnością. Czytając sprawozdania z posiedzeń, nie jeden sędziaby mógł, że to kraj złotego patryarchalizmu republikańskiego. Przesłuchane rzeczy mówiono niedawno na posiedzeniu komisji budżetowej Rady państwa o stosunkach galicyjskich, rozbiegając najboleśniejsze strony życia społecznego. Wiadomo, że sądownictwo galicyjskie przedstawia pod wieloma względami unikat w państwie austriackim. Poseł Madejski, który zeszłego roku w sejmie galicyjskim wygłosił świetną mowę o tym przedmiocie, domagał się obecnie od rządu stosownych rozporządzeń, iżby w sądach pierwszej instancji tacy tylko członkowie wyznaczani byli na sędziów śledczych, którzy wskutek swej rangi lub lat służby dają rękojmię, że potrafią zachować samodzielność wobec wniosków prokuratora, nie zaś, jak to dziś

często bywa, funkcyonaryusze podrzędni, młodzi, niedoświadczeni i zawzięci. Poparł wywody Madejskiego poseł Menger, wykazując nadto, jak niestosowną jest rzeczą, aby prokuratorowie brali udział w agitacjach politycznych i na „niebezpiecznych stanowiskach“ występowali jako kandydaci do mandatów poselskich. Minister sprawiedliwości, hr. Schönborn, odparł, iż wywodom obu posłów poniekąd słuszość przyznać musi. Stosunki owe opierają się na dotychczasowej praktyce sądowej. Rezolucyę Madejskiego, wzywającą rząd do usunięcia tej praktyki, przyjęła komisya; a jaki będzie dalszy, praktyczny przebieg tej sprawy, również wiadomo, aczkolwiek minister wskazówek w tym względzie nie udzielił. Lecz nie o tem, co się dzieje, ale o tem, co się mówi, donosimy dzisiaj: zatem wspomnieć jeszcze wypada o drugiem przemówieniu Mengera, dotyczącem również jednej z ran Galicji. Menger zarzucał rządowi nadużywanie „objektywnego“ postępowania w sprawach prasowych. Stan dzisiejszy musi każdego prawnika oblewać rumieńcem wstydu. Konfiskuje się w Austrii pisma, bez wskazania ustępów, które zawierają istotę czynu zbrodnicego, i bez wytoczenia procesu autorowi; dowolność cenzorów jest prawie nieograniczoną. Należałoby wydać nowelę, w którejby jej zakresło granice właściwe.

Dzielnie przemówił też poseł Gniewosz, podnosząc sprawę swobody osobistej w Galicji. Nie szanuje się jej tak, jak to być powinno w państwie konstytucyjnem. Odnosi się to zwłaszcza do ludności wiejskiej. Nie raz bywa, że ludzi poważnych wiodą milami pod eskortą żandarmów, nie mogąc im następnie wykazać żadnego naruszenia ustawy. Na los ten narażani są najczęściej rusini, których postępowanie takie napędza niechęć ku rządowi austriackiemu. Gniewosz niejednej jeszcze dotknął strony praktyk galicyjskich. Zdarzały się w procesach politycznych wypadki, że kobiety ucziwie zamykano w więzieniu razem z prostytutkami. Sędziowie i prokuratorowie zaś podkopyją sami zaufanie swej niezależności, wycierając przedpokoje wybitnych dostojników politycznych.

Galicya jednakże budzi zazdrość innych krajów korony austriackiej tem, że otrzymuje milionowe lub krociowe „podarki“ od rządu. Zapominają one, że jest to raczej skutek jej nieustającej nędzy, aniżeli czułości opieki. Zarzut ów podnieśli na nowo szlachacy w parlamencie austriackim,

kiedy dyskutowano nad wyjątkowym zasiłkiem 700,000 złr., projektowanym dla rolników galicyjskich, głodem dotkniętych. Hr. Taaffe sam obronił Galicję, wykazując, że gdyby spełnić chciano wszystkie słuszne żądania starostw galicyjskich, należałoby uchwalić za pomocą pięciomilionową. Poseł ruski, Kowalski dowodził, że z dawniejszych wsparć cesarskich nie rozdzielono przeszło dwa kroć set tysięcy złr., używając pieniędzy po części dla agitacji wyborczych na korzyść większości parlamentu. Turk natomiast sądził, że klęska szlachecką dlatego mniej jest dotkliwą, aniżeli galicyjską, że Szlachka mniej jest żydzyzią. Ostatni głos przed sprawozdawcą miał Jaworski, który swe przemówienie zakończył słowami: „Zapewniam panów, niema nieprzykrzejszego, nie boleśniejszego dla reprezentanta kraju, jak w takim wypadku odwoływać się do dobroczynności. Nie śledźmyż przyczyn niedostatku i nie patrzmy na rzecz ze stanowiska antysemityzmu. Nieszczęście stało się, a zapewniam panów, że o wiele więcej szkody zrządziły u nas w roku zeszłym myszy, aniżeli żydzi.“

Zarzut, podniesiony przez Turka, mimo swej popularności, dlatego może nie znalazł echa w Kole polskiem i w Galicji, że równocześnie z klęską ludności rolniczej, żydowska, handlująca i rękodzielnicza wpadła w nędzę, o której straszne szczegóły doszły do wiadomości publicznej. Poseł krakowski, Rappaport, odebrał memoriał w tej sprawie, a otrzymawszy nadto informacje szczegółowe od korespondentów prywatnych, przedstawił na posiedzeniu Koła polskiego stan rzeczy. Stwierdził, że powody nędzy ludności żydowskiej są nie tylko ekonomiczne i że powinny być zbadane dokładnie. Wniósł więc wyznaczenie komisji, któraby zajęła się zbadaniem materjału, dotyczącego nędzy ludności żydowskiej oraz ogólnego jej położenia ekonomicznego w Galicji, i któraby następnie przedstawiła Kołu wnioski właściwe. Nad pomysłem tym rozprawiano dość długo: zabierali głos Bobrzyński, Chrzanowski, Piniński, Rutowski, Lewakowski, ks. Czartoryski i Jaworski. Chociaż zgodzono się, że sprawą tą powinien się właściwie zająć sejm krajowy, postanowiono rozpatrzyć memoriał i zastanowić się nad środkami pomocy doraźnej, a nadto podjąć zbadanie przyczyn nędzy. Przyjęto też dodatek Jaworskiego, aby odnośna komisya zwróciła uwagę na niedostatek szerzący się u ludności innych wyznań w miastach i miasteczkach.

1)

## W PIĘKNEJ WILLI.

Pan Browicz spoglądał na swoje róże, rozkoszował się różnokolorowymi bukietami, kołyszącymi się na wysokich pniach, roznosząc w koło upajające wonie. Kochał on nad wszystko kwiaty, wśród nich róże sztamowe, a nawet kto wie, czy nie była to jego jedyna miłość. Miał wprawdzie żonę i dzieci, zapewne też kochał je... jak kochać należy. To jednak pewne, że nie zajmowały zbyt wiele miejsca w jego myśli. Należał do rodzaju ludzi przywiązanych do swojej własności, a żona, córki, syn — były to własności ruchome i z tego powodu zakłócały mu czasem błogi spokój. Browicz zaś cenił spokój tem więcej, iż długo pracować musiał na wywalczenie sobie stanowiska, majątku, stosunków, słowem tego wszystkiego, co dziś posiadał.

Róże sztamowe oprócz wdzięku mają przymiot niemały — nie potrzeba się do nich schylać. Browicz schylał się nieraz, choć nie lubił, ale nigdy nie czynił tego darmo. Leniwym z pewnością nie był, jednak męczył się zawsze, o ile mógł, najmniej.

Jego małe, siwe, latające oczy, gdy miał w tem interes, przesywały człowieka, czytując go do głębi; ale gdy go o co proszono, nabierały zimnych odblasków stali. Ludzie wyrachowani często wydają się twardymi, i on nieraz był zmuszony okazać się twardym. Świadczyła o tem linia brwi zagiętych, złączonych nad nosem meszkiem gestym, która nadawałaby ostry wyraz całej fizyognomii, gdyby nie to, że brwi te, jak i cały zarost, były rudawego koloru a zatem różniły się mało od ogorzalej twarzy.

Okragły, rumiany, choć już ze szpakowatym włosem, nosił na twarzy wyraz zadowolnienia, pochodzący z wyrobionego stanowiska, pewności jutra i tego wewnętrznego spokoju, który najczęściej daje — nie mądrość, jak twierdzą filozofowie, nie czyste sumienie, jak znów twierdzą moralisci, ale pewną dozę obojętności, nawet samolubstwa, będącego „najlepszym puklerzem dla piersi, w której serce nie uderza.“

Tak przynajmniej mówi przenośnia poety; w rzeczywistości bowiem serce pana Browicza uderzało regularnie siedemdziesiąt dwa razy na minutę, jak uderzać powinno serce pięćdziesięcioletniego przemysłowca, którego interesy są w porządku, który ma żonę flegmatycznego usposobienia, dorastające córki, nieobdarzone żadnym nadzwyczajnym talentem, syna, który, choć skończył gimnazjum, nie zabierał bliższej

znajomości z lichwiarzami — i którego jedyną namiętność stanowią niewinne kwiaty.

Można też poznać odrazu, iż człowiek, obchodzący z tak zadowolonym uśmiechem swą kolekcję róż, jest rozsądnym, życie bierze takim, jakim ono jest, nie wymaga od niego zbyt wiele, po obłokach nie lata i zajmuje się kwestyą społeczną oraz zagadnieniami dzisiejszego świata o tyle tylko, o ile go osobiście obchodzą.

Zresztą dla wszystkich abstrakcyjnych marzeń, idei, poglądów, rozumowań, słowem dla tego wszystkiego, co Napoleon nazwał ideologią, Browicz miał tylko uśmiech, a ten według upodobania można było uważać za obojętny, sceptyczny, pogardliwy — i jak jedwabnik owijał się przędzą dobrobytu. Jeśli zaś jaki zapalenie — tacy się zdarzają — zaczepił go wprost w tych materjach, odpowiadał przysłowiem francuskim, iż dobrze zrozumiane miłosierdzie zaczyna się od własnej osoby. Nie odmawiał datków na różne filantropijne cele, ale czynił to w ten sposób, jak się daje trzy grosznik żebrakowi wołającemu, że nie jadł i nie pił od rana, choć czuć od niego wódkę zdaleka. Był to tylko rodzaj odczepnego.

Nie był on gorszym od drugich, nie pragnął też wcale być lepszym, ani za lepszego uchodzić. Od marzycielskich pokuszeń odgraniczał się szczerze lekceważeniem, tak



Ani nędza Galicyi, ani nędza ludności żydowskiej nie uczyniła rządu skłonniejszym do przyjęcia milionów barona Hirscha, które, bądźco bądź, wydane być mają w Galicyi i stosunki ekonomiczne ludności żydowskiej na lepsze popchnęłyby tory. Nie pomogło, iż minister Zaleski szczerze jej był przychylnym. Fundacya Hirschowska jako instytucya krajowa przepadła niepowrotnie, a milionami rozporządzać będzie komitet wybrany z łona wiedeńskiej *Aliance israelite*. Takim jest najnowszy obrót tej sprawy, tyle ważnej dla żydów a pośrednio i dla Galicyi; obrót niekoniecznie fortunny, zawierający zarzewie przyszłych niesnasek i niechęci. O losach fundacyi oraz o ostatecznem jej ukształtowaniu się doniesiemy czytelnikom *Prawdy* w jednym z najbliższych numerów.

S.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po wyhałasowaniu się wielbicieli kancle-rza podczas rocznicy jego urodzin we Friedrichsruhe, po spaleniu mnóstwa pochodni i słów entuzjastycznych, wrzawa spowodowana jego ustąpieniem przycichła. Już dziś spokojnie płyną fale powodzlistów i teleqramów, a wylew ten z dniem każdym zmniejszać się będzie aż zejdzie do wąskiego strumienia dowodów pamięci o człowieku kiedyś potężnym, ale obecnie już tylko prywatnym. Chociaż Bismark we Friedrichsruhe wniósł toast za zdrowie cesarza, a cesarz przybył w Berlinie na ucztę do jego syna, przepasę, która rozwarła się między nimi coraz bardziej ukazuje swą głębię i już nie zbliży do siebie jej brzegów. Zresztą Wilhelm II — jak zapowiedział — plynie „pełną parą“. Po zakończeniu konferencyi robotniczej, wziął się do armii i wydał rozporządzenie, naganiające w niej zbytki i otwierające drogę kariery oficerskiej ludziom wszelkich sfer, nie, jak dotąd było, wyłącznie szlacheckiej. Ponieważ cios ten ugodził bogate i rozpanoszone junkierstwo, które przywykło do łask i pochlebstw tronu, więc sprawił wrażenie. Przeceniają go wielce gazety angielskie, ogłaszając już, że cesarz Wilhelm okazał się reformatorem stojącym na wyżynie swego czasu, że jest mężem godnym podziwu, itd.; zaprzeczyc jednak trudno, że i ten drugi krok zdra-

cza niezwykle energię. Jeżeli prawdę odsłania świeżo wydana broszura p. t. *Er geht — was nun!*, miał się wytworzyć w Niemczech związek patryotyczny, na czele którego stoi cesarz z nowym kanclerzem i ministrem wojny. Związek pragnie we wspólnej pracy połączyć rozprzężone i znarowione przez Bismarka stronnictwa, dać im inną, nie tyle polityczną, ile społeczną podstawę i z wielu grup drobnych utworzyć dwie główne — może na podobieństwo torysów i whigów w Anglii. Rzecz szczególna, Wilhelm II, który ciągle zapewnia, że nasładuje dziada, a przypomina raczej ojca, zdradza mocno dziedzictwo cech angielskich po matce: umiłował marynarkę i podróże morskie, admirała powołał na stanowisko kanclerskie, chce parlament upodobnić do angielskiego, a wreszcie popiera widocznie przedsięwzięcia i zabory kolonizacyjne w innych częściach świata. Najęty przez rząd niemiecki Emin pasza wydał w imieniu tego rządu odezwę do krajowców i wraca włąb Afryki, ażeby tam z pomocą majora Wissmana i potężnego handlarza arabskiego Tipu-Tipa rozszerzać posiadłości Niemiec.

Jakkolwiek bezrobocie od paru tygodni wybuchyło bardzo licznie w rozmaitych punktach Europy, wszędzie przebieg ich był bardzo spokojny. Dopiero w Wiedniu ruch ten spłynął się w jedno łozysko z rynsztokami antisemityzmu i zwykłego rabusiostwa, weszła na przedmieściach i dokonała gwałtownych spustoszeń. Tłum wybiłszyby, ograbił sklepy, starł się wreszcie z policją i wojskiem i dopiero po krwawej walce został zatamowany. W dzielnicach nawiedzonych burzą wzmocniono patrole i środki bezpieczeństwa publicznego.

Lepsze chwile przeżyła Portugalia: król wydał dekrety, zapewniające wolność prasy i swobodę stowarzyszania się, zapowiadając reformę kodeksu karnego, a jednocześnie tękę ministra oświaty powierzył liberalnemu Arroyowi.

## SPRAWY EKONOMICZNE.

### KONFERENCYA BERLIŃSKA.

I słowo stało się — słowem, odzianem w inną formę. Nieokreślone obietnice, wypowiedziane przez Wilhelma II w dekre-

tach, odbyły już w zwołanej konferencyi berlińskiej próbę ogniową i wcieliły się w nową postać — gorąco wyrażonego życzenia. Wraz z tem przeobrażeniem opuszczamy stanowisko teoretyczne, które dotychczas zajmowaliśmy. Mówiąc o dążeniach młodego monarchy, sądziliśmy je ze stanowiska zjazdów przeszłorocznych w Paryżu i przedwstępnego w Hadze. Najwybitniejsi przedstawiciele różnokrajowych partij polityczno-najmniejszych uchwalili tutaj cały szereg żądań wspólnych, wśród których przedewszystkiem wymienić należy następujące: zupełne usunięcie dziatwy młodszej od lat 14 z zakładów przemysłowych, 6-godzinną pracę dzienną dla młodzieży obu płci od lat 14 do 18, 8-godzinną zaś dla osób dorosłych, obowiązkowy jeden dzień odpoczynku w tygodniu, zamknięcie gałęzi przemysłu szkodliwych dla zdrowia personelu a także zabronienie niezdrowotnych metod technicznych, wprowadzenie minimalnego poziomu dla pobieranej płacy, jednakiego dla obu płci i wszystkich krajów. Dla dopilnowania tych wymagań, gdyby uczyniono im zadość, żądano ustanowienia szczególnych międzynarodowych instytucyj inspektorskich, któreby wychodziły z wyboru, dokonywanego przez najmitów; przytem ustawodawstwo winno rozciągnąć się nie tylko na produkcję fabryczną, lecz i na takzwany „przemysł domowy“. Uchwały te miały zostać poparte odpowiednio skierowanymi manifestacyami w dniu pierwszego maja. Naturalnie, dość ogólnie rzucić okiem, aby zrozumieć, że nie baczono tutaj na interesy przemysłowców. I w rzeczy samej przeprowadzenie tego planu groziłoby ruiną całym grupom wielko- i drobno-kapitalistycznym. Przedewszystkiem ofiarą padłaby drobni wytwórcy, którzy wytrzymują współzawodnictwo z wielkim przemysłem, między innemi dzięki swobodzie wobec ustawodawstwa fabrycznego. W dalszym zaś ciągu bankructwo groziłoby też tym wielkim przedsiębiorcom z mniej rozwiniętych ekonomicznie krajów, którzy liczą głównie lub jedynie na rynek wszechświatowy. Wprawdzie są tacy, co sądzą, że dzięki zmniejszeniu godzin pracy odpowiednio podniesie się wydajność najmitów (przyczem wszakże rachują na niejednakowy poziom zarobków). Ta zależność pomiędzy natężeniem a krótkotrwałością pracy nie może podlegać najmniejszemu wątpieniu; atoli aby nastąpiło zrównanie w odpowiednim kierunku różnych krajów z odmienną pracującą terażniejszością, po-

samo, jak od ulicy odgraniczał żelazną kratą swój ogród pełen pięknych róż, cieni-stych klombów i swą piękną, bluszczem obwieszoną willę.

W biedę ludzką nie wierzył; była ona tylko w jego przekonaniu owocem próżniactwa lub głupoty. Zresztą w walce życia był zawsze zwycięzcą; nie darmo miał silnie osadzone szczęki, opatrzone potężnymi, ostrymi zębami, jakie na każdym szczeblu rozwoju bywają udziałem osobników, nie-dających się łatwo pokonać. W obecieściu był łatwy, w interesach okragły. A jednak ludzie nie lubili mieć do czynienia z tym uśmiechniętym człowiekiem, który nigdy się nie uniósł, nigdy nie ustąpił i nigdy się nie dał ubłagać... Zresztą, najprzyjemniejszy z ludzi, byle tylko w grę nie wchodziła żadna kwestya osobista, czy to materyjalnej, czy moralnej natury.

Według zwyczaju Browicz pił poobiednią kawę na ganku... Była wyborna, przyrządzona, według wypróbowanych przepisów, jak wszystko, co służyło do jego osobistego użytku, jak cygara, które także na tę godzinę dobierał specjalnie. Zwykle palił je smakowicie w błogiem *far niente*, bujając się na trzcinowym fotelu. Miał prawo do odpoczynku: cały ranek poświęcił swojej fabryce, interesom, czynnościom urzędowym — po obiedzie należało tylko do nie-

go. Teraz jednak, zamiast bujać się spokojnie, obchodził swoje róże.

Zona z córkami była na wsi. On samotności nie lubił, bo umiał się zawsze bliźnimi posłużyć a w samotności musiał posługiwać sam sobie, w tem naturalnie, co nie należało do obowiązków służby. Zresztą rozmowy jego z rodziną nie były zwykłe zbyt urozmaicone; najczęściej dotyczyły potocznych przedmiotów a w lecie kwiatów, do których czuł jakąś sielską miłość.

— Spójrz no, Zosiu, na *Princesse d'Orléans* — mówił np., wskazując odpowiedni gatunek — wiele ma paczków?

Albo:

— Zdaje mi się, że chruszczuki obsiadły *Gloire de Dijon*, zdejm je, Maryniu!

Zapytywał też je o ogrody znajomych, u których bywały. Tym sposobem za pomocą córek zwiedzał swój kwietnik, posyłając je raz po raz na sprawdzenie jakiej wątpliwości oraz kwietniki innych, o których mu opowiadały, a tymczasem zona bujała się w drugim fotelu uśmiechnięta i milcząca.

Pani Browiczowa odznaczała się zgodnem usposobieniem, dobrem zdrowiem i rozróżną pięknością. Browicz wybrał ją sobie umiejętnie z pomiędzy wielu właśnie dla tych przedmiotów i wcale się nie omylił.

W czasie nieobecności rodziny mógł wzwąć *Fräulein Augustę*, trudniącą się gospodarstwem domowem i czynił jej te same

zapytania, co córkom, na które prawdopodobnie odpowiadały równie dobrze, jak one, przytem *Fräulein* miała oczy jak niezapominajki, ust jak gwoździki, policzki jak róże, nosiła więc cały kwietnik na obliczu i zapewne z tego powodu cieszyła się łaskami miłośnika kwiatów, który rozmawiał z nią chętnie, ale działo się to zwykle ukradkiem; nie chciał widać nadawać rozgłosu tym rozmowom i dlatego, nie wzywając nikogo, sam z wzorową troskliwością obchodził swoje róże, zbierał chruszczuki, obrachowywał kwiaty, a nawpół rozwinięty paczek *Maréchal Niel* urwał i zatknął w dziurkę od guzika.

Była to właśnie godzina spaceru, gdy na zwirowym dziedzińcu zaskrzypiały koła. Ekkipaż świeży połyskiwał w świetle słonecznem, kare konie parskały w eleganckiej uprząży z cyframi Browicza, groom ubrany w szafirową liberyę trzymał w ręku błękitne lejce.

Browicz lubił przejeżdżać się po alejach i Łazienkach, pokazując swą zręczność w powożeniu pysznymi karymi anglikami. Zwracał powszechną uwagę, gdy kierował ognistym zaprzęgiem, kłaniając się znajomym, zerkając nieznacznie na piękne panie, które, jak szeptało, obchodziły go więcej, niż na ojca rodziny przystało, a za nim siedział groom z założonemi na piersiach rękami, nieruchomy jak posąg, milczący



trzeba niejakiego i nawet znacznego czasu. Niech będzie to tylko okres kilkoletni, a wystarczy już do wywołania bardzo opłakanych dla przemysłu oddzielnokrajowego skutków... Co więcej, gdyby partje polityczno-najmickie odpowiedniemi postępowańmi zniewoliły odrębne kraje do wkroczenia na wytkniętą drogę, znalazłoby sojuszników wśród przemysłowców z tych państw, które doszły do większego rozwoju ekonomicznego. W tym względzie pouczającym jest kongres angielskich „królików bawełnianych” w Blackburnie (25 paźdz. 1889) dla popierania robotników hinduskich, występujących z żądaniem prawodawstwa fabrycznego. Łatwo więc można zrozumieć całą obawę, wywołaną tymi zjazdami wśród świata przemysłowego z mniej posuniętych krajów, zwłaszcza gdzie, jak w Niemczech, tak silnie się rozrosła polityczna partja najmicka. Istnieją tam tylko dwie drogi wyjścia: albo trzeba zmiażdżyć rozwijający się ruch siłą zbrojną, uwiesić go obietnicami i sprowadzić na tory inne, lub też przyjąć postawione zasady i przeprowadzić je zgóry na podstawie międzynarodowej ugody co do rozmiarów każdokrajowej produkcji. Uгода ta zapewniłaby, mimo krańcowego prawodawstwa fabryczno-międzynarodowego, dawny wywóz pojedynczym a niżej rozwiniętym krajom. W ten sposób regulowanie rynków leżałoby przedewszystkiem w interesie przemysłu wielkiego mniej posuniętych w nim krajów i byłoby rzeczą niekonieczną, jeśli przeprowadzenie reform odbywałoby się pod bezpośrednim a silnym naciskiem najmitów.

Wobec tych wywodów, chyba niepodobna położyć na karb przypadku tej okoliczności, że projekt rozwiązania kwestyi wyszedł właśnie od władz niemieckich. Zapowiedziany on został w znanych już dekreтах. Gdyby chciano go rozwiązać na tak szerokiej podstawie, jak tego wymagają uchwały w Hadze i Paryżu, żądające międzynarodowego prawodawstwa fabrycznego, idącego zgóry, koniecznie należałoby wtedy połączyć sprawę odpowiedniego uregulowania produkcji. Takim było nasze stanowisko dotychczasowe w tej kwestyi, wciąż bowiem staliśmy na gruncie programu paryskiego (8-godzinnej pracy dla dorosłych itd.). Tymczasem ktoś porwał nasze pojęcie prawodawstwa międzynarodowego, lecz nie zapytał o jego treść (a raczej podstawę inną) i począł jak maczugą wywijać dowodzeniem, że wskazany związek nie jest konieczny. Naturalnie twierdzenie to

jest najzupełniejszą prawdą, jeśli weźmiemy inną, a mianowicie skromną ośnowę ustawodawstwa międzynarodowego, taką chociażby, jaką wypracowała tylko co zakończona konferencya berlińska. A warto się jej przyjrzeć dla wielu względów. Wygląda on tak bliźniuchno po porównaniu z wymaganiami powyżej skreślonymi, że nawet przewyższyła w tej mierze nasze oczekiwanie. Nadaremnie bowiem poszukiwalibyśmy tu czegoś w rodzaju ograniczeń dla dorosłych robotników, zamknięcia szkodliwych gałęzi przemysłu lub owej minimalnej granicy międzynarodowo-zarobkowej. Wszystko skurczyło się do ograniczenia pracy dzieci, podrostków i kobiet. A zatem konferencya uznała, że byłoby to nader „wünschenswerth,” gdyby oddzielne, uczestniczące w zjeździe mocarstwa, zgodziły się na punkty następujące: dzieci do lat 12 winny być wykluczone od zajęć fabrycznych; dla krajów południowych to minimum wieku zniżyć można do lat 10, przytem dzieci obowiązane są uprzednio odbyć przynależną powinność szkolną; przed skończeniem lat 14 nie wolno ich zatrudniać nocą lub w niedziele i w szkodliwych dla zdrowia zawodach, sama zaś praca nie może przewyższać sześciu godzin dziennie, przedzielonych półgodzienną pauzą; podobne ograniczenia we względzie pracy nocnej i świątecznej należałoby zastosować i do młodzieży 14—16 letniej, sama zaś jej praca nie ma trwać dłużej nad godzin 10 z 1½-godzienną przerwą (z wyjątkiem pewnych zawodów). Wreszcie dla kobiet i dziewcząt powyżej lat 16 postanowiono uznać „za godne życzenia,” aby nie pracowały nocą i w niedziele, aby zajęcia nie trwały dłużej nad 11 godzin dziennie z 1½ godziną przerwą, wreszcie aby kobietom nie wolno było pracować przez 4 tygodnie po rozwiązaniu. Obradujące jednocześnie i w związku z powyższą konferencyą zebranie górnicze ograniczyło się także do wypowiedzenia kilku życzeń, lecz natury jeszcze skromniejszej w porównaniu z tonem dekrétów. A więc „pożądaniem” byłoby, aby kobietom oraz małcom niżej lat 14 (12 dla krajów południowych) nie wolno było pracować w kopalniach pod ziemią; aby w tych razach, gdzie technika nie usunie niebezpiecznego otoczenia, skrócony był czas pracy, przyczem pozostawiono do woli oddzielnym krajom, jak to ma być osiągnięte; wreszcie aby rozciągnięto dozór nad bezpieczeństwem górników i urządzono opiekę na wypadek nieszczęścia, choroby i kaletwa.

Między innemi obradowano też nad środkami powstrzymania bezrobocii górniczych i uchwalono życzenie, aby istniały sądy rozjemcze pomiędzy pracodawcami a robotnikami.

Oto i wszystko. Niektóre „życzenia” nie drastają nawet do zwyczajów teraźniejszości... Naturalnie, jest rzeczą pożądaną, aby i te skromne westchnienia oblekły się w ciało. Atoli nie w tem spoczywa punkt ciężkości danego pytania. Kiedyś wyswietliliśmy już sprężynę, dzięki którym powołano do życia dekrety i w ciągu dalszym konferencye. Wiemy, że był to przedewszystkiem manewr polityczny. A zatem należałoby o „życzeniach” sądzić z tego samego punktu widzenia. Sama społeczna demokracja na ów fortel odpowiedziała innym, podobnym, ofiarując swoje poparcie „dobrym” zamiarom Wilhelma II, lecz jednocześnie dodając, że dekrety stwierdzają jedynie potęgę partji najmickiej, gdyż bez niej nigdyby się nie ukazały... Jednocześnie wszystkie pisma tego kierunku zaczęły stawiać przypuszczenia tak wygórowane co do „dobrych zamiarów” oraz owoców konferencyi, że na zdobyte życzenia, nawet już wcielonę, robotnik inteligentniejszy wzruszy ramionami. Wobec tego dzisiaj, gdy czyn jest dokonany, można uważać dekrety za krok wysoce niepolityczny. Uprawniły one roszczenia, rozbudziły nadzieje, a dały — kilka skromnych życzeń Tymczasem widnokrąg zachmurza się i wymaga głębszego wejrzenia i donioslejszej reformy. Dość śledzić doniesienia gazet, aby dostrzedz, że ruch najmicki wzrasta gwałtownie. Dowodzi tego statystyka bezroboci. Anglia w 1888 r. miała ich 509; Stany Zjednoczone w okresie 1881—1884 przeciętnie co rok 461, w 1885 r. zaś 645 i w 1886 aż 1,411; we Francji przeciętna cyfra roczna, która w latach 1874—1880 wynosiła 40, wzrosła między 1882—1885 do 131. Setki tysięcy aż do miliona osób uczestniczą rocznie w tych nieporządkach. Zmianę stanu rzeczy najlepiej uwidocznia obecna taktyka angielskich „trades-unionów.” Wprawdzie ci członkowie, którzy na zjeździe paryskim przyjęli uchwałę co do 1 maja, przegrali sprawę na angielskiem zebraniu ogólnozwiązkowem w Dundee, 87 głosami przeciw 34 odrzucono uczestnictwo w 1 maja, w zasadzie jednak zgodzono się na dzień 8-godzinny pracy, lecz uchwalono żądać go jedynie dla górników. Atoli inne postanowienia zjazdu świadczą, że „trades-uniony” zaczynają porzucać dotychczasową oportunistyczną po-

jak grób, z powagą wielkiego stanowiska na swej dziecinnej, żółtej, przedwcześnie wywiedłej twarzy satyra.

Browicz miał już siadać, zawołał, aby mu podano rękawiczki, paltot i kapelusz, gdy ukazał się służący z listem na srebrnej tacy.

Browicz machinalnie wyciągnął rękę, nie zwrócił nawet uwagi na podpis. Listów odbierał mnóstwo, był to wynik jego stanowiska. Zapraszano go na obiady, wieczory, majówki, wzywano na sesje, zapytywano o radę, nie licząc całej rzeszy błagającej o protekcję lub wprost o pracę. Otrzymał list nie wyglądający wcale estetycznie, nie miał na kopercie ani gołąbka, ani kwiatka, ani nawet monogramu, koperta z cienkiego papieru obcięta była gładko i nosiła na wierzchu wydrukowane nazwisko jakiejś podejrzanej firmy. Zapewne przeznaczona była do biura. Otworzył ją niedbale, ale za ledwie rzucił nań okiem, brwiję się zbiegły, czoło pobladło, wydatną czyniąc łączącą je linię.

Przez chwilę stał w miejscu, gniewnym ruchem szarpiać rękawiczki, potem skinął na grooma, który podprowadził konie. Siadł na swoim miejscu, chwycił za lejce i uderzył biczem niecierpliwe angliki, które rzuciły się jak wściekłe, tak, iż groom zaledwie zdołał wskoczyć na swoje siedzenie.

A dalej bił je, ile razy zwałniały biegu, jakby pilno mu było do jakiegoś celu.

Groom przetrzął oczy zdziwione. Od czasu jak siadał na tylne siedzenie amerykana z założonemi rękami na liberyjną kamizelkę, nie pamiętał, by pan jego kierował się w inną stronę, niż w elegancką, wschodnią dzielnicę, ciągnącą się około alei Ujazdowskiej. Teraz kare rumaki, gnane gniewną ręką, pędziły ku placowi Teatralnemu, a Browicz zamiast obdzielać wdzięcznymi ukłonami przechodniów, nie raczył nawet na nich spojrzeć i jechał naksztalt olimpijskiego Jowisza; chmura oblekła mu gromowładne oblicze, przedmioty zdawały się znikać z przed oczu, utkwionych tylko wprost przed siebie. Nie zatrzymał się na placu Teatralnym, pędził dalej na ulicę Elektoralną, potem na Chłodną w jakieś kąty, do których nie zaglądają nigdy spacerujący. Amerykan podskakiwał na nierównym bruku, pączek *Maréchal Niel* o mało się nie wysunął z dziurki od guzika. Kare rumaki były całe w pianach, a Browicz jeszcze siekł je biczem nieustannie.

Gdy dojeżdżał do rogatki Wolskich, minął je, nie zatrzymując się wcale, wpadł pomiędzy niskie dworki, ciągnące się szeregiem przy drodze i tu dopiero osadził konie. Uczynił to jednak gwałtownym ruchem, niepodobnym do tego, jakim wstrzymywał je w ulicach parku, kiedy spotkał

szczególnie miłe osoby i rzucając lejce groomowi, zeszkakiwał z amerykana, by się z niemi przechadzać.

Tym razem szarpnął wędzidła, aż krwa-piana ukazała się w pyskach koni. Przez czas jakiś jechał wolno, przyglądając się numerom, niewyraźnie wypisanym na drzwiaach dworków. Z warg jego wypadały jakieś ostre, gwałtowne słowa, czy przekleństwa, ale choć groom zaciekawiony, starał się pochwycić ich wątek, nie zdołał tego uczynić.

— Franek! — zawołał nagle.

Franek zeskokczył i znalazł się odrazu przy panu, wyciągając machinalnie ręce po lejce.

— Franek! — powtórzył znowu, jakby chciał wydać rozkaz.

— Słucham — odparł żółty chłopak.

Pan nie dał mu żadnej odpowiedzi; przez chwilę lejce osuwały się z rąk jego, wreszcie oddał mu je już spokojnie, wysiadł, zagłębił się pomiędzy ubogie domostwa przedmieścia, rozpatrywał się wśród nich uważnie. Zatrzymał się wreszcie nagle przed jednym z nich. Snać było to miejsce, którego szukał. Więcej, niż niewyraźny numer, upewniła go o tem twarz jakaś, którą ujrzał po za jednym z okien.

(D. c. n.).  
W. Marrené.



litykę czynienia zabiegów o „harmonię“ z kapitałem, w której z ogólnoklasowych dążeń czyni się ofiarę interesom grup pojedynczych i zrywają z chłopomańskim życzeniem, aby każdy anglik posiadał jedną krowę i akr gruntu. Uwidocznia się to między innymi w uchwale, aby wystąpiono jako samodzielną klasową partya polityczną, odrębnie od radykalizmu drobnomieszczańskiego; co więcej zjazd spodziewa się zwycięstwa przy przyszłych wyborach blisko w 60 okręgach. Rzecz także charakterystyczna, że postanowiono połączyć się z partiami ludowymi dla urzadzania międzynarodowych rad i kas bezrobotnych. Wywołane przez zjazd w Dundee zebranie przedstawicieli statysiecznej federacji górniczej, przyjęło natomiast uchwałę dnia 8-godzinnego. Ruch ten udzielił się i lądowi stałemu. W lutym odbył się w Belgii podobny zjazd górników, na którym postanowiono wytworzyć ogólnobelgijską federację górniczą, ustanowić urząd dla zbierania statystyki zarobków, rozmiarów dnia roboczego i dywidend, które dostają się przedsiębiorcom, oraz dla regulowania bezrobocia, powołać do życia kasę związkową i przyjąć udział w ruchu 8-godzinnym. Te zjazdy oraz bezrobocia górnicze były przyczyną konferencji górniczej berlińskiej. Jak wiemy, dała ona dotychczas kilka skromnych życzeń, a tymczasem jako odpowiedź na nią uchwalono za kilka tygodni zjazd w Brukseli górników z Anglii, Francji, Belgii i Niemiec; podobno Bebel ma być przewodzącym.

Przytoczyliśmy te fakty, gdyż właśnie w ich świetle można pojąć rezultaty berlińskie. Zbyteczna dowodzić, że jedynie rozgłaszanie mogły jeszcze bardziej umysły i upewnić je, że im więcej będą żądały, więcej dostaną. Dekrety cesarskie mówią wprost: macie słuszość, konferencya zaś dla przyznania słuszości wyraziła zbyt drobne życzenia. Wprawdzie na pomoc przeciw podniesieniu wśród robotników przychodzi inne związki — przedsiębiorców. Zjazd górników angielskich wywołał odpowiednią federację wśród właścicieli, która powołała już do życia wspólną kasę przeciw robotnikom, postanowiła przeciwdziałać agitacji 8-godzinnej i żądaniom podwyższenia zarobków. Podobny syndykat i z podobnych przyczyn narodził się w Niemczech — w celu wzajemnego ubezpieczenia się przeciw szkodom, jakie zrządzone w przyszłych bezrobociach. Wyznaczono fundusz 1,200,000 marek, wnoszonych przez oddzielne przedsiębiorstwa w stosunku do rozmiarów produkcji. Lecz są to środki bojowe, niezdolne do złagodzenia skutków agitacji, uprawnionej niejako dekrety. Większe znaczenie posiadałyby bezwarunkowo inne fakty, na które być może młody monarcha niemiecki głównie liczył, wydając dekrety. W ostatnich telegramach czytamy mianowicie: „Zgromadzenie delegatów robotniczych w Bildstock, które uchwaliło nie wysłać delegatów swoich na kongres berliński z powodu skrajnych jego tendencji, uważane jest za pierwsze zwycięstwo polityki socjalnej cesarza. Mówcy powoływali się otwarcie na dekrety z dnia 4 lutego i na prace konferencji berlińskiej, wyrażając przekonanie, że wobec zajęcia się ich losem przez rządy nie wypada dopuszczać się czynów, nieliczących z porządkiem.“ Nie ulega wątpliwości, że gdyby dekrety wywołały taki skutek wśród całej warstwy robotniczej niemieckiej, polityczno-klasowa partya najmicka przestałaby istnieć i zamieniłaby się na grupy zawodowe, walczące w obrębie jednego dnia lub raczej jednego pokolenia o polepszenie czysto ekonomiczne. Społecznej demokracji pozostałoby jedynie wyzwać na oportunizm robotniczy i sarkać przeciw poglądom w rodzaju: „kto dał, to dał, byleby dał“ Lecz czyż można spodziewać się tak szczęśliwego dla władz niemieckich wyjścia? Czyż można mniemać, że

postępek bildstocki znajdzie licznych naśladowców? Jesteśmy w tym względzie raczej pesymistami. Wspomniana partya zapuściła zbyt silne korzenie i sami najmicy zanadto posunęli się w świadomości klasowo-robotniczej; zbyt jasne są fakty, że sama konferencya była następstwem potęgi politycznej owego żywiołu, zbyt wreszcie mało rosy padło na zbyt wielką posuchę. Pójdziemy nawet dalej, bo mniemamy, że dekrety staną się jedynie nową podniętą i nawet gdyby faktów takich, jak przytoczony, znalazło się więcej, trudno nam byłoby nie obstać jeszcze przy swoim zdaniu. Wobec dowodów, które posiadamy pod ręką, musimy wyznać, że Wilhelm II nie obliczył wszystkich następstw swego kroku, a raczej uwiódł samego siebie mniemaniem, że jakimś drobnym ustępstwem rozgromi 1½-milionową partję polityczną, która teraz nie omeszka wyzyskać położenia i iść w kierunku uchwalonym na zjazdach w Hadze i Paryżu wraz z towarzyszami z innych krajów. Jak lawina własnym ciężarem pada z góry i rośnie, podobnie pod naciskiem wytworzonego położenia cesarz niemiecki winien wydać nowe dekrety i zwołać nową konferencyę, co więcej, zając się urzeczywistnieniem życzeń. Zresztą, być może, wybierze drogę mniej pokojową...

K. R. Żywicki.

## BADANIA NAUKOWE. POŁOŻENIE FILOZOFII U NAS.

### II.

Filozofia dla swego rozwoju potrzebuje pewnej sumy wiedzy, która następczając umysłowi zagadnienia czysto rozumowe, skierowywałaby go bezwiednie ku sferom oderwanego myślenia; potrzebuje myśli, swobodnej od przesądów i uprzedzeń, owego stanu duszy, uzdolniającego ją do przyjęcia wszelkiej prawdy, chociażby ta burzyła wszystkie dotychczasowe jej zapatrywania i zmuszała do wewnętrznego przeobrażenia się, do nowego uporządkowania swych przekonań i uczuć. Tych koniecznych dla siebie warunków filozofia nie znajduje w naszym społeczeństwie, które dotąd zostaje pod silnym wpływem wierzeń tradycyjnych, którego pojęcia i zapatrywania dotąd nie pozbyły się zabarwienia romantycznego. Na samodzielne myślenie nas nie stać. W ocenianiu rzeczy nie umiemy wznieść się ponad stanowisko subiektywne, a co gorsza, nie mamy odwagi być sobą i dla względów czysto światowych nie cofamy się nawet przed obłądą. Zresztą tak umysł nasz zesztyniał, że powtarzamy z całą bezmyślnością utarte pomyłki, frazesy, nie zadając sobie pracy zbadania, czy zawierają one w sobie jakieś pojęcie, któreby odpowiadało rzeczywistym stosunkom. Dlatego też dają się u nas słyszeć zdania o filozofii, z jakimi gdzieindziej już się nie spotykacie — zdania albo wręcz fałszywe i przewrotne, albo nacechowane taką naiwnością, jaka w dzisiejszych czasach żadnemu człowiekowi wykształconemu już nie przystoi.

Najbardziej rozpowszechnionem jest mniemanie, że filozofia dla naszego narodu zbyteczna, a nawet szkodliwa, gdyż podkopuje wiarę i osłabia te prawdy, na których życie narodowe opiera się; że nasi ojcowie bez niej obchodzili się i my bez niej obejść się możemy.

Przekonywać o potrzebie filozofii tych, którzy tej potrzeby nie czują i odczuć jej nie są zdolni, byłoby to samo, co dowodzić temu, kto jest obojętnym na wdzięki przyrody i nie lubi nadmiernego ruchu, że do największych rozkoszy w życiu należą wy-

cieczki w Tatry, że wrażenia, jakich się doznaje na ich szczytach, wynagradzają sto-krotnie trudy i niewygody. Nie godzi się atoli przemilczeć zarzutu, że nasi ojcowie obchodzili się bez filozofii. Przeciwnie niemu świadczy wymownie historia literatury narodowej, która nas uczy, że każdy kierunek filozoficzny znajdował w naszej przeszłości słabszy lub silniejszy odgłos. Dość tu przytoczyć scholastyków krakowskich, używających w swoim czasie sławy europejskiej, S. Patrycego, tłumacza Arystotelesa, Śniadeckiego i Dowgirda, przedstawicieli filozofii szkockiej, a nareszcie Trentowskiego, Libelta, Cieszkowskiego, Gołuchowskiego, wyznawców spekulacji niemieckiej.

Mniej powszechnem, lecz za to bardziej postępowem jest zapatrywanie, które przyznaje pewne korzyści ze studyowania filozofii, ale wymaga, by do niej przystępowano wtedy dopiero, kiedy się już ma przekonania ustalone, których nie zachwiać nie może, filozofia bowiem ma być jak trucizna, która w pewnych wypadkach może stać się środkiem zbawiennym, ale zażyta niewłaściwie sprowadza jeżeli nie śmierć, to w każdym razie ciężką chorobę. Nie brak w końcu i takich, co z powagą mędrców utrzymują, że każdy może i powinien wyrobić sobie na własny swój użytek filozofię, jaka najbardziej odpowiada jego usposobieniom, nie potrzebując jej uczyć się i szukać gdzieindziej, niż we własnym rozumie.

Wszystkie te zdania i poglądy, o ile nie są bezmyślnem echem złośliwych potwarzy, mają swe źródło głównie w braku zastanowienia się nad naturą ludzkiego rozumu i nad jego wymaganiami, w braku dokładniejszego obeznania się z tem, czym jest filozofia, jakie obecne jej stanowisko i do jakich zadań ona zmierza.

Naturę rozumu ludzkiego stanowi poznanie, badanie rzeczywistości, jak ona się mu przedstawia w zjawiskach fizycznych i duchowych. Najpierwszą jego potrzebą jest zdanie sobie sprawy z tego, co się dzieje u nas i po za nami, wytłomaczenie zagadnień, jakie mu nastręcza obserwacja wewnętrzna i zewnętrzna; drugą — wytworzenie jednolitego poglądu na świat i życie przez usystematyzowanie pojęć i usunięcie spośród nich możliwych sprzeczności.

Pierwszemu z owych wymagań rozumu czynią zadość szczególne nauki, które zajmując się oddzielnymi grupami zjawisk, starają się poznać ich własności, zbadać przyczynowy ich stosunek i nieskończoną ich mnogość sprowadzić do pewnych uogólnień, stanowiących ich prawa; drugiemu — filozofia, która na tem stanowisku, jakie obecnie zajmuje, nie jest niczem więcej, jak syntezą wiedzy ludzkiej, usystematyzowaniem najwyższych uogólnień pojedynczych nauk na podstawie zagadnień, wspólnych wszystkim gałęziom wiedzy.

Filozofia nie jest już dzisiaj dowolną tkaniną, oderwanego myślenia, nietroszczącą się o prawdę faktyczną, nie jest ową spekulacją, która upatrując jedyne źródło prawdy w czystym myśleniu, w tajemniczych głębiach ducha, zerwała naturalne węzły z rzeczywistością i dyalektycznym ruchem, wzniosła się w sfery tak mgliste, że straciła z oczu świat zjawisk i sama przestała być widzialną. Jest ona obecnie nauką, jak każda inna, mającą właściwy sobie przedmiot i ściśle określoną metodę. Opiera się we wszystkich swych wywodach i wnioskach na faktach doświadczalnych, jakich jej dostarczają poszczególne nauki — i każde jej twierdzenie, będące uogólnieniem danych, jakimi rozporządza, albo też dedukcyjnym owego uogólnienia zastosowaniem, o tyle jest prawdziwem, o ile prawdziwymi są fakty naukowe. Uznając doświadczenie i oparte na niem rozumowanie za jedyną drogę do prawdy, odróżnia ona skrzętnie to, co jest pewnem, od tego, co jest przypuszczalnem, prawdopodobnem. Hipoteza dla niej nie jest niczem innem, jak domysłem, którego na razie sprowadzić



nie może i służy za wytyczny znak dla przyszłych badań, wskazujący kierunek, w jakim mają być przedsięwzięte. Znamionną jej cechą stanowi przedmiotowość, własność, polegająca na tem, że o prawdziwości swych wywodów upewnia się ona nie samą tylko zgodnością ich z sobą, ale przedewszystkiem z rzeczywistością. Głównym dla niej sprawdzianem jest doświadczanie.

Wobec takiego stanowiska filozofii, czyliż nie dziecinne jest twierdzenie, że wolno mieć każdemu własną, jak gdyby filozofia można było nazwać mniemanie czysto subiektywne, zapatrywanie, oparte na przywideniach i uprzedzeniach? Niezawodnie, że wolno mieć nietylko własną filozofię, ale nawet logikę i etykę, tylko że wolność tego rodzaju bardzo często prowadzi do szpitala albo do kryminału.

Jeżeli powyższe twierdzenie jest nawiśnię, to zgoła niedorzeczne jest to, podług którego do filozofii mogą się zabierać tylko ludzie z ustalonymi przekonaniami. W kim myśli i uczucia skrytykowały się do takiego stopnia, że w nich już żadna zmiana nastąpić nie może, dla tego filozofia jest wcale niepotrzebna. Głównym zadaniem filozofii jest rozszerzyć zakres myślenia, uporządkować pojęcia i zapatrywania, zaprowadzając między nimi ład i sprowadzając je do jednej jakiejś zasady. Dla zadania tego nie masz miejsca w umyśle ostatecznie sformowanym, w którym pewne skojarzenia wyobrażeń i uczuć nabrały moc nałogu i stały się drugą naturą. Przyrównywać filozofię do trucizny dlatego, że jakiś dudek niedowarzony, nie zrozumiały jej, wyciąga z jej założeń wnioski, o jakich się jej ani śniło, jest to samo, co nazwać trucizną pokarmy dlatego, że szkodzą temu, kto cierpi na katar żołądka. Filozofia wymaga przedewszystkiem zdrowej myśli i pewnego zasobu wiedzy. Kto nie ma ani jednej, ani drugiej, temu jeżeli i nie zaszkodzi, to w każdym razie na nic się nie przyda.

Władysław Kozłowski.

## PRAWO DO WOJNY.

### I.

Każda umiejętność ma swoją łamigłówkę, która nigdy z jej porządku dziennego nie schodzi, bo nigdy w zadawalający sposób rozwiązana być nie może. Łamigłówką taką jest: „prawo do wojny.“ Od wieków każda strona wojująca twierdziła, że je posiada i że go broni. Nic dziwnego, że uczeni starali się oddać prawo do „prawo.“ Można wątpić, ażali usiłowania te uwieńczone będą pożądanym skutkiem: zważywszy jednak wzniosły ich cel — trudno je potępić. Tem więcej zasługuje na uwagę wszelki pogląd oryginalny i nowy na tę sprawę. Znajdujemy go w dziele Henryka Retticha<sup>\*)</sup>, który dowodzi, że bezowocność dotychczasowych usiłowań ścisłego określenia „prawa do wojny“ pochodzi stąd, iż prawnicy międzynarodowi nie wiedzieli, co to jest wojna i że o istocie jej mieli najfałszywsze wyobrażenia. Zaczawszy od Grotyusza a skończywszy na profesorze heidelberskim Bulmeringu, uważali zawsze wojnę za rodzaj procesu prawnego, prowadzonego orężem zamiast dowodami. Tymczasem jest ona raczej rodzajem ruchu przemysłowego (ein Act des Verkehrs). Jak każdy ruch podobny wynika ona z potrzeb ludzkich i pragnie je zaspokoić. Ze względu na te cechy można ją określić jako: „gwałtowne współubieganie się o przedmiot sporny, którego w inny sposób osiągnąć nie mo-

zna.“ Dodać jeszcze należy, że współubieganie to odbywa się zawsze między ustrojami społecznymi. W łonie zaś takich ustrojów wojna, jako najostrejsze zaprzeczenie wszelkich wspólnych interesów, ustąpić musi porządkowi prawnemu i pokojowemu, który nazywamy „państwem prawnym“ (Rechtsstaat). Tę najdoskonalszą jego formę poprzedziła faza rozwoju, w której wykluczenie przemysłu wojennego w granicach państwa nie było istotnym i koniecznym warunkiem jego ustroju, tak, że wojna między obywatelami była niekiedy możliwa. Tej fazie autor poświęca ciekawy rozdział, w którym przedstawia szczegółowo jej przebieg w Niemczech. „Istniało tam oddawna prawo egzekucji prywatnej, zwane *jus faidam partandi*, a służyło każdemu wolnemu człowiekowi (ingenuus) do pomśzczenia krwawej krzywdy.“ W tej zemście autor widzi początek wojen prywatnych, które publicysta niemiecki Zoepfel charakteryzuje temi słowy: „Każdy starał się gwałtem i przemocą zagarnąć ile mógł... Kto tylko raz posiadał zamek i trochę żołdactwa, temu żadna władza państwowa nie mogła zabronić, jeżeli nie miał innego zarobku, aby żył z łupu i z dochodów zagarniętej ziemi.“ Wprawdzie skuteczne wykonywanie tych rabunków wymagało nietylko twierdzy i licznych żołdaków, ale także jakiegoś porządku między panem a nimi. Ci więc, osiadając około zamku, poddali się tem samemu głównemu warunkom ustroju państwowego, tworząc stałe siedlisko i lud pod panem, przez co utworzyło się w Niemczech mnóstwo miniaturowych państweczek. Między sobą zaś panowie ci prowadzili „przemysł wojenny.“ Z tej samej jednak przyczyny, z której oni w swoich miniaturowych państewkach utrzymywali pokój i prawo, starali się o to również i cesarze. Zwolowali oni w tym celu zebrania, na których zaprzysięgano pokój. Zawsze zaś był to przedewszystkiem ich interes osobisty. „Nawet ów sławny „pokój wieczny“ Maksymiliana I nie jest bynajmniej dowodem cesarskiej troski o dobro publiczne, lecz o interes dynastji. Wszystkie wszakże te ustawy aż do ogłoszenia „wiecznego pokoju powszechnego“ (1495) nie potępiły bynajmniej raz na zawsze wojen prywatnych. Dopiero ów „wieczny pokój“ wyrugował formalnie z prawa publicznego Niemiec wszelki gwałt prywatny. Ostatni tego rodzaju zakaz zawiera się w pokoju westfalskim. Zresztą nie trzeba mniemać, że stare wojny prywatne różniły się swą formą od nowożytnych; i tamte bowiem miały tak samo, jak dzisiejsze, swoje prawo, tj. pewne reguły.

W nowożytnych walkach przemysłowców o zarobek rozstrzyga zawsze przewaga kapitału; wtedy zaś dawała zwycięstwo większa ilość żołdactwa. Między „faidą“ średniowieczną a dzisiejszą *spekulacją* niema różnicy ze stanowiska prawnego, zachodzi tylko różnica stosunków ekonomicznych. Dzisiaj nagrodą zwycięstwa jest nowy kapitał, podczas kiedy wówczas była nią ziemia wraz z jej osadnikami.

Reakcja przeciwko tej dla ogółu szkodliwej wojnie „ogniem i mieczem“ wyszła najprzód od duchowieństwa, pragnącego ubezpieczyć swe dobra i interesy od przemocy. Środkami walki były dlań kary kościelne, kłatwy, odmówienie pogrzebu i ślubów. Wszystko to nie pomogło; wojny prywatne nie dały się wytepić. Gwałt zdobył sobie prawo i korzystał z niego znowu przez długie lata. Wtedy duchowieństwo francuskie chwyciło się nowego środka. Niechby sobie już rycerze prowadzili dalej rzemiosło wojenne, aby tylko duchowieństwo i lud przez pewien przeciąg czasu zabezpieczeni byli. Ogłoszono „Treuga dei“ (pokój święty), mocą którego od wieczora, co czwartek, aż do rana, co wtorek między wszystkimi chrześcianami, przyjaciółmi i wrogami, sąsiadami i obcymi ma panować nienaruszony pokój. W istocie była to tylko ugoda

między przemysłowcami pokoju i wojny, dziwne dzieło dziwnych ludzi i dziwnych stosunków. Przykład Francji znalazł naśladowców w Niemczech, w osobie biskupa kolńskiego. Nowa ustawa nie była zbyt ostrą. Pozwolono bez naruszenia jej smagać nieposłuszną służbę i poddanych, nakazano również przez króla wojna nie zrywać pokoju świętego. Zdaje się jednak, że ten pokój kolński nie miał wielkiego powodzenia, albowiem na synodzie w Clermont (1095) papież Urban II używa projektowanej wyprawy krzyżowej jako gromochronu od wojen prywatnych. „Teraz bowiem — powiada — obrońcą Boga, będzie ten, co dotąd był rozbójnikiem. Kto dotąd służył za pieniądź nikczemny, niechaj teraz zdobywa nagrodę wiecznego zbawienia... Wy, którzy gnębicie sieroty i plądrujecie wdowy, którzy mordujecie chrześcian i beczecie kościół, depreciecie boskie i ludzkie prawo, zaprzastańcie bratobójczych wojen i zamiast współwyznawców, zwalczajcie obce ludy, wyprawiając się jako Chrystusa święta, niezwykła armia przed Jerozolimą.“ Ale ani wyprawy krzyżowe, ani ponawiane wciąż ogłoszenia pokoju świętego, nie mogły położyć końca wojnom prywatnym. „Treuga“ nie była wstanie usunąć jednym zamachem przemysłu wojennego, który stał się był realną potrzebą licznej warstwy ludności, bo zaspokajał zarazem jej żądę panowania i potrzeby życia, przemysłu, który przeszedł był w krew i sok życia publicznego.

Co więcej, kiedy od XI wieku szlachta zajmować zaczęła wysokie posady duchowne, stolice biskupie i opactwa, całe wyższe duchowieństwo ożywione było tym samym duchem wojowniczym, którym teńnęło świeckie jego rodzeństwo i zaczęło współzawodniczyć z niem w przemyśle wojennym. Pozostały tedy tylko jako jedyne zawody pokojowe — chłopstwo i mieszczaństwo. Ponieważ zaś chłopstwo było poddanem i pozbawionem wszelkich praw, mieszczaństwo podjęło walkę z gwałcicielami pokoju. Cesarze sprzyjali mu i wspierali usiłowania miast nadaniami i przywilejami. Sądziłi bowiem, że wzrost handlu i rzemiosł stworzy zarazem powiększenie się podatków i dochodów cłowych. Tym sposobem w luźnej organizacji cesarstwa powstały miejskie rzeczypospolite, wśród których tylko przemysł pokojowy był dozwolony i możliwy i które sprzymierzyły się. Te związki pokojowe były największym ograniczeniem rozbójnictwa rycerskiego i przeszkodą wzrostu możnych panów terytoryalnych.

Wpływ tych ostatnich spowodował, jak się zdaje, cesarzy i królów do zakazywania związków miejskich. Ale te zakazy zostały również bezskuteczne. Przemysłowcy wojenni zatem musieli chwycić się realniejszych środków i wzorem miast zawierać sojusze dla zabezpieczenia przemysłu wojennego. Tak powstały związki św. Jerzego, św. Wilhelma, Lwa, Pantery itd.

Ale konkurencja przemysłowa prowadzona brutalną siłą, miesciła we własnym wnętrzu zaród zniszczenia. Kiedy bowiem silniejszy poskramia słabszego, a sam zasila się zasobami zwycięzonego, nietylko liczba wojujących wciąż maleje, ale wszelka walka w końcu ustaje w chwili zwycięstwa jednego najsilniejszego. Prawo naturalne tym sposobem prowadzi samo przez gwałty i rozboje do jedności i do pokoju. A zważając na ten konieczny rezultat, nawet brutalna siła mniej staje się odrażającą i nabiera pewnego znaczenia etycznego — jest ona bowiem najdawniejszym i najskuteczniejszym środkiem, prowadzącym do jedności i do pokoju. Nietylko zaś to prawo naturalne, ale inne także zmiany kultury i obyczajów, które z biegiem czasu nastąpiły, współdziałały w kierunku pokojowym.

(D. n.).

Mag.

\*) Heinrich Rettich: *Das Recht zum Kriege*. Zur Theorie und Geschichte des Rechtes zum Kriege. Völkerrrechtliche Untersuchungen. Stuttgart, 1888.



## ROZWÓJ ETNOLOGII NOWOŻYTNEJ.

Praca badacza niemieckiego, Tomasza Achelisa p. t. *Die Entwicklung der modernen Ethnologie* jest książką, która pomimo jednostronności autora dla wielu będzie pożądanym źródłem informacji. Autor zajmuje stanowisko Adolfa Bastiana i uznając w etnologii jedynie rację metody psychologiczno-filozoficznej, z namietnością niemal występuje przeciw nauce materyalistycznej, która procesy umysłowe utożsamia z pewnemi zmianami materii. I pod innym jeszcze względem zarzucić można Achelisowi jednostronność: uwzględnia on głównie prace Niemców, wyliczając z autorów francuskich i angielskich zaledwie kilku najwybitniejszych. Bądź co bądź, w dziele jego występuje jasno rozwój tej umiejętności, a niemała to zasługa wobec rozmaitości kierunku nadanego jej przez różnych badaczy. Achelis upatruje początki etnologii w czasie, który nastąpił po wielkich odkryciach geograficznych. O. Lafitau i Jerzy Forster, którego opis wysp oceanu Spokojnego obudził w Humbolta zamiłowanie do tej nauki, traktują etnologię w sposób etnograficzny, podczas gdy Voltaire, Rousseau, Herder, Schiller i Klemm pierwsi zajmują się kwestyami etnologicznymi ze stanowiska filozoficznego i kulturalnego. W drugim rozdziale, który bada dzieje etnologii jako umiejętności socjologicznej, zaznacza autor, czego na tem polu dokonał August Comte, wprowadzając metodę porównawczą i Quetelet, żądający badania typów i wielkich grup. Quetelet pierwszy baczniejszą też zwrócił uwagę na zmiany, jakim ulega społeczność ludzka pod wpływem odmiennych warunków klimatycznych i geologicznych. Obszernie streszcza Achelis prace Schäfflego, którego mieni twórcą realistycznej psychologii i psychofizyki społecznej, zwracając zwłaszcza uwagę na jego *Güter der Darstellung und Mitheilung*.

Etnologia, jako umiejętność wyspecjalizowana, rozpoczyna się z dziełem Pricharda *Naturgeschichte des Menschengeschlechts*, które w czwartym i piątym dziesięcioleciu naszego stulecia tak wielkiego zażywało poważania. Badania Pricharda nad monogenizmem i poligenizmem i wywody jego o psychiczną jedność rodu ludzkiego miały dla etnologii znaczenie przełomowe. Dalej przedstawia autor rezultaty prac Bastiana, założyciela berlińskiego Muzeum etnologicznego, który rozwija psychologię przyrodniczą, tj. badającą dzieje rozwoju ducha ludzkiego na podstawie etnologicznej. *Anthropologie der Naturvölker* Waitza uwzględnia Achelis nie mniej sumiennie, aniżeli *Völkerkunde* Peschla i zasługi jego następcy Kirchhafa. Podobnej popularności, jak Peschel, nie osiągnął żaden z etnologów, aczkolwiek niejeden dorównywał mu ogromem wiedzy i bystrością badań. Szersza publiczność nie zna np. prac Fryderyka Müllera, który wielkie położył zasługi na polu klasyfikacji ras. Ocenivszy jeszcze dzieła Lubbocka i Tylora, kończy Achelis dzieje etnologii przeglądem badań Posta nad stosunkami prawnymi różnych ludów, oraz prac F. Ratzela. Żałować należy, że nie uwzględnił jeszcze prac Lippertha, któremu etnologia zawdzięcza badania nad powstaniem religij i idei kulturalnych.

L.

## JĘZYKOZNAWSTWO.

Hora F. A., *Polsko-czeski słownik kieszonkowy*. Praha, 1889—90.

Doczekaliśmy się nareszcie słownika polsko-czeskiego, co ze względu na stosunki li-

terackie z pobratymcami za rzecz niezbędną uważamy.

Przed niewielu bowiem laty pozbawieni byliśmy wszelkich środków, któreby się w czemkolwiek przyczynić mogły do poznania języka, literatury i dziejów czeskich. Dziś postać rzeczy się zmieniła. Mamy już trzy podręczniki do nauki języka (Tomka w tłumaczeniu Krzywickiego, Szastekiego i Byczkowskiego), a obecnie p. Hora z Pilzna obdarzył nas słownikiem polsko-czeskim. Autor, będąc czechem, łamać się musiał z nieprzewyciężoną trudnością. Głoszą nawet wieści, że przygotowywał do druku drugi słownik czesko-polski. Pragnęlibyśmy szczerze, aby wieść niebawem się spełniła.

Praca p. H., dedykowana p. Janowi Karłowiczowi, przedstawia format szesnastki, złożony z 99 arkuszy druku. Autor posiłkował się słownikami języka polskiego Lindego i Rykaczewskiego, tudzież polsko-niemieckim Łukaszewskiego, czesko-niemieckim Kotta i słownikiem dla lekarzy Choudounskiego. Słownozbiór zawiera wyrazy najbardziej potrzebne, a często mniej znane. Oprócz tego są tam niektóre zwroty i polonizmy. Mając na uwadze treściwość książki, autor unikać musiał wiele rzeczowników czasownikowych, jak np. *dokonanie* (od dokonać), *kierowanie* (od kierować) itp., tudzież wyrazów złożonych z partykułą przeczącą: *nie*, np. *nie-długi*, *nie-proszony* itd.; nakonieć czasowników, jak *nasuszyć*, *nawywozić*, *ogolić*, *odegrać* i t. d. Dodatek zawiera spis nazw geograficznych i imion chrześniych. Co do pierwszych, to zwrócimy uwagę autora, że zamiast *Auszpurg* i *Bryn*, używa się w języku polskim *Augsburg* i *Berno* lub z czeska *Brno*. Obok *Budyszyn*, *Bulgarczyk* i *Madiar*, należałoby umieścić i inne formy tych wyrazów, jak: *Budiszyn*, *Bułgar* i *Bulgar*, tudzież *Madziar*. Wyraz *Has*, *haski*, nieznan w języku polskim, używa się natomiast *Hessya* lub *Hesy*, *heski*. Z imion chrześniych zam. *Brykcy*, *Eustachi* powinno być: *Brykcyusz*, *Eustachy*. Brak jest nazw czeskich na niektóre znane miejscowości, jak: *Eger* (Cheb), *Elbogen* (Loket), *Karlsbad*, *Marienbad* itp. Nie pisze się także: *Adiga*, *Bitom*, *Notecz*, lecz *Adyga*, *Bytom*, *Notet*.

Wytknąwszy te drobne nader usterki, spodziewamy się, że publiczność nasza zechce korzystać ze słownika, nagradzając tem dobre chęci i wytrwałość autora.

J. F. Gajslar.

## LITERATURA I SZTUKA.

### LISTY WIEDENSKIE.

5 kwietnia.

Ze scen wiedeńskich. — Burgtheater i Wolterowa. — Volkstheater i Ganghofera „Hochzeit von Valen.“ — Opera i inne teatry. — Koncert Biblioteki polskiej i panna Abendrotówna.

Minał sezon jesienny i zimowy, w którym sceny tutejsze wystawiać zwykły najcenniejsze sztuki, jakie spryt dyrektorów lub traf szczęśliwy im nasunął. Mimo iż Wiedeń od zeszłej jesieni posiada o jedną scenę więcej, aniżeli w latach poprzednich, płon dramatyczny jest nader niepokojnym. Osierociały Burgtheater kontentuje się wystawianiem niegranych jeszcze sztuk autorów zmarłych a słynnych. Po Hebbłu przypominano sobie Ottona Ludwiga, dając w „Machabejczykach“ Wolterowej sposobność do stworzenia nowej, potężnej roli, o której wielu znawców twierdzi, że jest najcenniejszą rolą tej artystki. Dała ona nowy, zdumiewający dowód niezależności talentu aktorskiego od inteligencji; o ile bowiem pierwszym rozporządza, o tyle, jak

wiadomo, brak jej drugiej. Zresztą wystawiono w Burgtheaterze parę komedij modych dziś autorów niemieckich, o których trudno powiedzieć, który z nich mniej jest godnym przestąpienia progu pierwszego instytutu dramatycznego.

Uczciwiej, lecz z niemniejszą nieudolnością i z niewiększem szczęściem brał się do rzeczy Volkstheater pod dyktando Emeryka Bukovicza. Wystawił on cały szereg komedij i dramatów poronionych i umiatających natychmiast po sztucznym ożywieniu ich. Volkstheater, którego przeznaczeniem jest krzewić smak zdrowy wśród sfer mieszczańskich i popierać dramatopisarstwo oparte na podstawie narodowej, najbardziej zadowolili publiczność dramatem sensacyjnym, osnutym na tle rumuńskim. Zapewne obil się już o uszy czytelnikom *Prawdy* tytuł sztuki „Wesele w Waleni“, którą obecnie grywają sceny niemieckie, a która w Wiedniu chrzest odebrała. Nie można jej odmówić jednej zalety: zapoznała ona widza ze stosunkami rumuńskimi. Widzimy naprzód dom zrujnowanego bojara, Demetra Fortunata, który pieczęcie sądowe na swych meblach przykrywa dywanami perskimi, kupionymi za pożyczone pieniądze. Syn Fortunata, Jonel, ukończywszy studia w Niemczech, wraca do domu rodzicielskiego, pełen najlepszych dla kraju chęci; lecz stosunki ojca zmuszają zdolnego prawnika do oglądania się za bogatym ożenikiem: Przez chwilę uderza go Santa, młoda, demoniczna cyganka, towarzysząca lat jego chłopięcych, którą bogaty Notara, właściciel sąsiedniej wsi Valeni, wychował w pensjonacie wielkowiejskim. Lecz niebawem otrząsnąwszy się z tego wrazenia, pokochał bogatą dziedziczkę, Pię Bogdaną i z nią się zaręczył. W Sancie tymczasem wspomnienie lat dawnych obudziło żar: pokochała pięknego Jonela namietnie. Lecz stary Notara gotuje gody weselne, a biedna cyganka, która wszystko mu zawdzięcza, oddaje rękę zgrzybiałemu rozpustnikowi. Po ślubie, podczas zabawy urządzonej z przepychem, Santa oświadcza Jonelowi swą miłość, a odepchnięta przezeń, bierze truciznę z rąk garbatego cynika, prokuratora Czuku, który kocha ją namietnie. Widząc spazzone przed sobą życie, Santa odrzuca zamiar; wtem wpada senny jej małżonek, a widząc na stole kieliszek z szampanem, wychyla go zwyczajem ludzi nieumiarowanych, nie wiedząc, iż zawierał truciznę. Niebawem prokurator Czuku wyszedł przyczynę śmierci Notary i proponuje Sance wysłuchanie jego żądań, skoro nie chce być sądzoną jako morderczyni. Santa odrzuca go, lecz przed sądem broni ją Jonel Fortunat, którego wymowa porывa przysięgłych. I już Sance zwróconą ma być wolność, gdy zbuntowani chłopci wpadają do sali sądowej: Santa ginie od kuli, przeznaczonej Jonelowi. Jest w tej sztuce jeszcze parę efektów, które działać muszą: podczas nocy ślubnej wbiega do pokoju samotnej Santy stary jej ojciec, cygan, grasek i opowiada dzieje jej matki: zginęła ona pod batogami tegoż samego Notary, który Santę właśnie poślubił. Zastanowiwszy się jednak nad myślą sztuki, wyciągnąć z niej można chyba taki morał: nie pij wina, któregoś przedtem nie zbadał chemicznie. Zdumiewającą jest nieudolność autora, tyle zrecznego w gromadzeniu efektów, do powiata ich niemi dramatycznymi. Gdyby Santa była świadomie otruła mordercę swej matki, sztuka miałaby jakąś akcję; obecnie polega ona, według słów pewnego krytyka wiedeńskiego, na pomyleniu się w kieliszku i na chybnym strzale.

„Wesele w Waleni“ jest udratyzowaniem powieści „Jonel Fortunat“, napisanej przez dziennikarza rumuńsko-żydowskiego, Marka Brocinera, który obecnie jest współpracownikiem *Wiener Tagblattu*, gdzie koleguje z Ludwikiem Ganghoferem, znanym autorem dramatów ludowych. Przeróbka sceniczna pojawiła się pod firmą Ganghofe-



ra, który podobno niewiele nią się zajmował. Jako krytyk teatralny i literat znany w Niemczech, stosunkami swemi zapewnił on jej przyjęcie i powodzenie, a sobie znaczne tantiemy. Przy tej sposobności wypłynęły na wierzch fakty, które fatalnie rzuciły światło na niego, jako pisarza i człowieka: okazało się, że między Brocinerem a Ganghoferem zachodzi stosunek podobny, jak niegdyś między Hedrichem a Meisnerem. Tem wstrętniejsze było widowisko bezczelnej reklamy, jaką Ganghofer przy pomocy kolegów dziennikarskich pusił w ruch dla poparcia *swego* nowego utworu, napisanego przez Brocinera.

Prawdziwą zasługę natomiast zaskarbił sobie Volkstheater wystawieniem najlepszych utworów Anzengrubera, które po dziełach Hebbla i Ludwiga są najcenniejszymi w Niemczech dramatami nowoczesnymi.

Opera, idąc za przykładem Burgtheatru, spłacała w tym roku długi kompozytorom zmarłym. Wystawiono „Św. Elżbietę,” oratorium Liszta i Berlioza „Beatrycze i Benedykt.” Pomijamy „Theater an der Wien,” który wystąpił z dwiema operetkami „Orakel” Hellmerbergera i „Biedny Jonatan” Millöckera, Kartheater i Josephstädtertheater, które wystawiły szereg ludowych sztuk wiedeńskich.

Kolonia polska żywo teraz się krząta około koncertów. Dla rolników galicyjskich, dotkniętych głodem, odbyć się ma koncert pod protektorem kilku pań z arystokracji wiedeńskiej. Tymczasem urządzono mniejszy, przeznaczając część dochodu dla szkoły polskiej, mającej powstać w Wiedniu. Koncertem tym zajmował się komitet Biblioteki polskiej pod przewodnictwem ks. Czartoryskiego. Prócz państwa Tyberg-Pattinger słyszeliśmy zdolnego wolonczelistę Duzinkiewicza i śpiewaczkę opery nadwornej, pannę Irenę Abendrot, która niedawno w „Łucyi” nową odniosła tryumf. Zebrała najsuttsze oklaski, zwłaszcza za piosenki polskie, które śpiewa najpiękniej, sama sobie akompaniując na fortepianie. Skoro repertuar opery nie stanie na zawadzie, panna Abendrot przybędzie do Warszawy, dokąd kilkakrotnie ją wzywano.

Stwosz.

## FEJLETON.

### LIBERUM VETO.

Świateł wlosny. — Co my mieszczenie widzimy z jej uroków. — Choroba miasta i zdrowie wsi. — Redakcyje na wsiach. — Oplaty strefowe w Węgrzech i u nas. — Gorsząca obojętność. — Koń i lokomotywa. — Wint i cieść dla waleta treflowego. — Bezskuteczna a potrzebna skarga. — Panteon *Gazety rolniczej*. — Dwa w nim posagi. — Pochlebstwo mimowolna satyra. — Za co Bóg i my mamy wynagrodzić p. L. Górskiego. — Zagadkowe określenie konserwatyzmu względnie i bezwzględnie.

Nie wszystkim zapewne czytelnikom wiadomo, że Wielkanoc jest dawnym świętem wiosny, na którym chrześcijaństwo zaszczerpił swą pamiątkę religijną. Ile razy ono przypada w porze chłodów i śloty, wydaje się nowożytnym; ile razy zaś przejdzie opromienione blaskami słońca, wygląda starożytnie, jak gdyby było echem radości tych czasów, kiedy ludzie czcili i weselem witali odradzającą się naturę. Takim było owo święto w roku bieżącym, o czem daleko więcej i lepiej mógłby powiedzieć wpatrzony w wszechstronne uroki przyrody wieśniak, niż ja, skazany na dożywotnie ciężkie roboty, nieszczęśliwy więzień miasta. Bo i cóż ja widziałem — podczas godów wiosny? Kawalek okurzonego błękitu nieba, dłuższy

słupek merkuryusza w termometrze, lody, fijołki, różnobarwne baloniki i zabawki nasładowujące pisk ptaków, sprzedawane na ulicach, wreszcie zadyszanych ludzi, biegających od domu do domu dla wymiany życzeń przy kurzum jajku i nad zwłokami wieprza. Gdyby takie tylko wdzięki odsłaniała zmartwychwstająca ze snu zimowego natura, wątpię bardzo, czy poeci uczyłiby ją tyloma pieśniami. Do lodów śmietankowych i baloników czerwonych nie przylatują słowiki, zarówno z Parnasu, jak i z gaju. To też wszyscy my, ludzie najprozaiczniejszego gatunku, zwolennicy wycieczek w dorazkach, gapiostwa ulicznego, tłumnych zebrań w kurzu ogrodów spacerowych i tym podobnej mizeryi, cieszymy się wiosną, bo ona nam pozwala mniej płacić za węgle, zmienia cięższe na lżejsze okrycia; ale czy pieścimy oczy jej widokiem, wdychamy jej upajające wonie, słyszymy jej śpiewy? Czy ona jakkolwiek ślad odciska w naszym życiu, w naszych pismach, które przecie mają być odbiciem „chwili”? Zarówno w listopadzie i styczniu, jak w kwietniu zajmujemy się Bismarkiem, Myszugą, zbiorowiskami ludzi, zgromadzonymi dla wspólnej uciechy, wreszcie zadrukowaną bibułą i jeszcze raz bibułą. Człowiek wtedy tylko duchowo i fizycznie jest zdrow i posiada bogatą wyobraźnię, kiedy przez całe życie pozostaje dzieckiem przy piersi — natury. Oderwany od matki, mizernieje, dostaje skrofów umysłowych, wpada w czarogłupia melancholiję, która mu obrzydza istnienie i zniedołężnia siły. Pesymizm jest chorobą miasta. Kto corocznie po doszczętnych spustoszeniach zimy widzi odradzające się drzewa, zmartwychwstające trawy, wyrastające z nasion zboża, ten musi wierzyć w przyszłość, w plon wszelkiego siewu. Żadna też klasa ludzi nie jest tak skłonna i zdolna do żywienia nadziei, jak rolnicy. Zobaczcie ich rozmawiających o czemkolwiek z mieszczanami — np. o polityce. Pierwsi ciągle roją, drudzy ich rozczarowywują; tamci dmuchają w iskry, ci gaszą płomien; tamci w marzeniu gotowi są wziąć wodospad za kolumnę, ci — granit za gąbkę; tamci ustawicznie widzą życie wykwitające ze śmierci, a ci śmierć zabijającą życie. Prasa jest poniekąd filozofią codzienną. Otóż byłoby niezmiernie ciekawem, jaką by ta filozofia przybrała barwę, gdyby jej krosna przeniesiono na wieś. Wyobraźcie sobie: redakcyja dziennika w Piskowej Wólce. Odbiera ona pocztą i telegrafem wiadomości z kraju i całego świata, które drukuje i objaśnia. Ale w tem ustroju zmieniają one dla niej swą wagę. Bo czyż podobna wobec majestatu natury, zmysłą spokojnie skupioną i wszechhistnieniem obejmującą, ogłaszać tysiącom czytelników, że Dumas prawą ręką zwykł drapać się w lewe ucho, a lewą w prawe, że Sarah Bernard wypantoflowała komisarza podatkowego w Wiedniu, że królową rautu u państwa Bzik była pani Psik, że Mierziński po raz pierwszy zrobił giest ręką podczas śpiewu, że Wisnowczycy i Czaczanie paradyzu prowadzą walkę Gwelfów z Gibelinami itd.? Wszystko to można pisać w mieście, ale nie wśród drzew, zboż, kwiatów, pod wspaniałem sklepieniem nieba, przed szeroko rozwartą zrenicą słońca. Nawet krowy z obór miejskich bywają wypędzane na wały i smugi trawą obrosłe, ażeby lepsze mleko dawały: doprawdy to samo należałoby czynić z dziennikarzami w redakcyjach — lepsze pisywaliby artykuły.

Projekt mój będzie łatwym do wykonania, gdy na kolejach naszych zostaną wprowadzone oplaty biletów strefowe. Jak wiadomo, ojczyzną tego pomysłu są — ku wstydomi wielkich — małe Węgry. Straszono je bankructwem — minister komunikacyi odpowiedział, że na dwuletnie straty jest przygotowany i że potem szybko je odzyska. Tymczasem ruch na drogach żelaznych wzmógł się olbrzymio i dochody wzrosły. Był to wszakże nietylko tryumf

jednej głowy i jednego kraju, ale i samej zasady. Inne państwa, bądź ośmielone dobrym przykładem, bądź też przestraszone współzawodnictwem, zaczęły rozmyślać nad wprowadzeniem podobnej reformy. Austria wkrótce będzie ją miała, Niemcy również uznały jej konieczność. „Już dziś — powiada *Frankf. Zeitung* — można uważać za rzecz pewną, że nasi ministrowie kolejowi, którzy dobrowolnie nie chcieli pójść naprzód, uczynią to z musu.”

A nasze zarządy dróg żelaznych? My również mamy taryfy strefowe, o tyle różne od węgierskich, że tam normą ceny biletów do najdalszych punktów w pewnym obrębie (strefie) jest opłata za przejazd do najbliższego, a u nas odwrotnie. Tak np. kolej Nadwiślańska lub Terespolska w Węgrzech pobierałaby za podróż z Warszawy do Jabłonny lub Miłosny tyle, ile do Płudów i Rembertowa, u nas zaś pobierają do Płudów i Rembertowa tyle, ile do Jabłonny i Miłosny. Chociaż oryginalna ta strefowość, która całemu światu ucywilizowanemu jest nieznaną i prawdopodobnie nigdy znaną mu nie będzie, wytrzymała dotąd szczęśliwie atak węgierski i pozostanie jeszcze na długo jako drogocenna skamieniałość rozwoju środków komunikacyi, sądzę jednak, że prasa powinaby odwrócić swą uwagę od dywidend i Lysenów, a skierować ją na interes ogółu, związany z kolejami żelaznymi. Pod względem stosunku do kraju, pod względem wygód i ułatwień podróży, stoją one tak daleko od zagranicznych, jak np. drewniane świdy dzikich dla wydobywania ognia od fabryk zapalek. Jaki procent akcyje kolejowe przynosić będą holendrom, niemcom, francuzom, albo wreszcie naszym kapitalistom, to tak zajmuje a często dręczy prasę warszawską, jak gdyby od tych dywidend zależało szczęście narodu. Natomiast, ile za przejazd lub przewóz towarów płacić muszą miliony ludzi — to jej nie obchodzi. Jest to obojętność wprost gorsząca, której żadne bilety wolne, ofiarowane reaktorom i literatom, usprawiedliwić nie mogą.

Takiej dbałości o wysmarowanie tłustych pościół i takiego lekcważenia interesów ogółu daremnie szukalibyśmy nawet tam, gdzie gazety są utrzymankami panów kolejowych. Za granicą wskutek nadzwyczajnych ułatwień i obniżenia cen ruchu po drogach żelaznych, ożywia się handel i przemysł, rozwija się i potęguje energia ludności w coraz nowych przedsiębiorstwach; u nas dzięki skostniałej rutynie toczą się wagony po szynach od lat wielu jednak, osobowe — puste, towarowe — wielkimi transportami naładowane, wśród okolic martwych, pozostających jeszcze w tym stanie kultury, w którym koń współzawodniczy z lokomotywą, a furman żydowski z dyrektorem kolei. Dawnoż to niedźwiedź z Brześcia do Warszawy przyjechał na wozie, bo jego właściciela drożej kosztowałby wagon? A i dotąd ilu to letnich mieszkańców wędruje codziennie po 8 kilometrów do Warszawy, bo kolej nie daje im żadnych ulg, owszem płacić każe za większą odległość! Czy okolice Warszawy takby wyglądały, gdybyśmy mieli udogodnienia komunikacyi od dawna stosowane za granicą? Czy cudzoziemiec, zbliżając się do rogatek naszych, pozna z widoków, że przybywa do wielkiego miasta? Jeżeli odgadnie — to chyba nosem, nie oczami.

Corocznie wyjeżdża z Warszawy kilkadziesiąt tysięcy osób na letnie mieszkania. Czy kto o tych ludziach myśli, ażeby im ułatwić przejazdy, więcej powiem, ażeby z tej wędrowki wyciągnąć korzyść dla samej kolei? Myślą — dyrektorowie o pensjach i gratyfikacyach, akcyonaryusze — o dywidendach, a dzienniki — o dyrektorach i akcyonaryuszach. To się nazywa: „rozszerzać arterye ruchu” i „służyć dobru społecznemu.” Bodaj was, moi panowie, licho na łopacie nosiło z takimi arteryami i z taką służbą! Kto widział energiczną, rzu-



tką, świeżymi pomysłami przeplatana gospodarke kolejową za granicą, kto tam korzystał z najrozmaitszych biletów po zniżonej cenie, z pociągów nadzwyczajnych, świątecznych, spacerowych, a potem zażył rozkoszy podróżowania naszymi żółwiami parowymi, dla których czas przyjsia i odejsia pociągu jest jeszcze ruchomym — i które dotąd w rozwoju zdołały się posunąć za ledwie do pociągów na odpusty częstochowskie, ten dozna wrażenia takiej różnicy, jak gdyby członek Rady zarządzającej, skończywszy partję winta w tutejszej reursie, pojechał do Usambary i tam zobaczył waleta treflowego, zawieszonego w świątyni murzyńskiej jako obraz boga władającego burzami na morzu.

Od lat wielu powtarzam te zarzuty bezskutecznie. Ale też nie chodzi mi wcale o to, ażeby słowa moje były nawet kroplami wody, drążącymi kamień, który jest miększym od instytucyj, podtrzymujących głównie kult awansów, gratyfikacyj i synekur. Pragnę tylko z jednej strony otrzeźwić zdrowy rozsądek ogółu, durzonego interesami gromadki ryb wielkich, ogłaszaniem za jego własne dobro, z drugiej — ratować godność prasy, która za ledwie kilkoma głosami w tej sprawie broni owego dobra. Skąd ona może się zdobyć na niezależność i bezstronność krytykę, jeżeli większość pism periodycznych wrosła korzeniami w grunt kolejowy, jeżeli cały zastęp dziennikarzy posiada synekury lub posady na kolejach żelaznych?

*Gazeta rolnicza*, która posiada jakiegos Plutarcha, który piórem, „maczanem we łzach wzruszeń i we krwi serdecznej,” opisuje jej czyny znakomitych mężów, zaczęła budować „Panteon dla cichej, skromnej, lecz wielkiej, bo rzeczywiście cnoty i zasługi.” W tym Panteonie (który, jak wiadomo, był świątynią) pierwsze miejsce zajmować będzie posąg A. Goltza, a drugie — p. L. Górskiego. Pochlebca, zdobiący ludzi zwyczajnych wienkami nadzwyczajności, jest mimowolnym szydercą ze swego społeczeństwa. Plutarch *Gazety*, który rozciiera się przed swym bohaterem na proch łzami skropiony, opowiada o nim, że napisał szeregi broszur i artykułów, jest wzorowym gospodarzem i „potrafił osiągnąć z dóbr swoich dochód znakomity,” krzewił pobożność wśród ludu i otaczał go życzliwą opieką. Ponieważ autor nie zdradza, na czym polega naukowa wartość pism rolniczych p. Górskiego, więc zapewne w dziedzinie wiedzy nie były one nową pochodnią i z tytułów jego chwały pozostaje nam tylko: skromnej miary publicysta, rzadny, praktyczny i rozumny gospodarz, wierny syn kościoła, prawy człowiek i przyjaciel ludu. Ani jednego z tych zaszczytnych zresztą tytułów nie myślimy zaprzeczać p. Górskiemu; ale skoro ziemianstwo umiejętnych i zajętych rolników chce wprowadzać do Panteonu, skoro zwykłe cnoty obywatelskie są według niego boskością, to jakież ono wystawia sobie świadectwo o swej wartości ekonomicznej, umysłowej i moralnej? Jeżeli p. Górki istotnie — jak zapewnia jego biograf — jest człowiekiem skromnym, niechętnym do publicznego paradowania z laurem na głowie i przekonany, że spełniał tylko swoje obowiązki, to niewątpliwie sam pomyśli lub powie swemu chwalecy: panie, dlaczego krzywdzisz swoje społeczeństwo, twierdząc, że w stadzie czarnych ja jestem białym krukiem, że mnie „tylko Bóg łaską swoją a współziomkowie cześć najgłębszą i pamięcią wdzięczną wynagrodzić mogą?”

Uzasadniając społeczne znaczenie swego bohatera, Plutarch *Gazety* pisze: „Zdaniem naszym, konserwyzm dwojako pojmowanym być może: absolutnie, czyli bezwzględnie, lub też w zastosowaniu do czegoś. W pojęciu pierwszym występuje on jako siła moralna dośrodkowa, hamująca przedwczesne (?) lub zbyt częste (?) wybuchy bezwzględnej postępy; w drugim staje na gruncie pewnych tylko wierzeń, zasad lub

idei, które uważa za najdroższe społeczeństwu skarby.”

Sądzę, moi czytelnicy, że ja i wy łatwiej byśmy wleźli na słup wielkanocny placu Ujazdowskiego, wysmarowany mydłem, niż wyluskali sens w tem określeniu konserwyzmu „bezwzględnego i względnego.” A jednakże autorowi zdawało się, że on w tych słowach coś jasno rozumiał. O myśli ludzka, jakże ty często grywasz z sobą w ślepią babkę!

Posel Prawdy.

## NA WIDNOKRĘGU.

Bazar wyrobów kobiecych w Lublinie. — Kilka słów o „roślinie inspektowej.” — Pożar przedziałni Poznańskiego w Łodzi.

„Jeżeli pozbawimy żydów pola do wyzysku, wtedy zmuszeni będą wziąć się do pracy uczciwej i produkcyjnej” — zapewnia *Gazeta radomska*. Bardzo słusznie. Będziemy niezmiernie wdzięczni tak jej samej, jak i towarzyszkom prowincjonalnym, jeżeli zamiast mnożenia wody letniej, postarają się skrzętnie zbierać dane, mające związek z działalnością u nas w kierunku zwięzania społecznego pola wyzysku żydów, jeżeli zamiast wiary w cudotwórczą moc swoich słów zachęty do zawiązywania spółek kooperacyjnych w naszym kraju, zechcą nas stale informować o istniejących już zdobywach działalności spółdzielczej, opierającej się przedewszystkiem na inicyatywie jednostek energiczniejszych. Obecnie korzystamy z tego, cośmy pod tym względem znaleźli. W cennej rubryce „Kuryerek kolejowy,” prowadzonej z chlubną odwagą cywilną, niebawem za redakcyi p. Rewolińskiego \*), spotykamy sprawozdanie z czynności stowarzyszenia spożywczego oficjalistów drogi Iwangrodzko-Dąbrowskiej. Czerpiemy. W okresie sprawozdawczym (w r. 1889) stowarzyszenia w Radomiu i Bzinie sprzedały towarów za ogólną sumę 60,021 rs. 3,007, kop. 88½. Jest więc nadzieja, że przy umiejętnem prowadzeniu interesu suma ta z czasem może się nie tylko podwoić, lecz nawet potroić. Takie powodzenie podnieca energię, to też na ogólnem zebraniu członków uchwalono otworzyć w Strzemieszycach filię stowarzyszenia, to jest trzeci już sklep.

Ważne są również dane dotyczące stanu gminnych kas zaliczkowo-wkładowych w kraju. *Dziennik łódzki* podaje szczegóły odnośnie do instytucyj tego rodzaju dwóch powiatów gub. piotrkowskiej: łódzkiego i łaskiego. W łódzkim istnieje kas takich trzynaście, a mianowicie: w gminie Brus, Bełdów, Brójec, Puczniew, Aleksandrów, Łagiewniki, Zeromin, Gospodarz, Wiskitno, Nowosolna, Rszew, Górki i Czarnocin. Posiadają one kapitału zakładowego rs. 16,345 kop. 51. Największy kapitał posiada kasa przy gminie Górki (rs. 7,375), najmniejszy — kasa przy gminie Rszew (rs. 600). Niektóre z nich mają dość duży obrót pieniężny, a mianowicie: kasa w gminie Górki wydała w ciągu roku sprawozdawczego pożyczek na rs. 33,945, w gminie Gospodarz na rs. 20,929, w gminie Aleksandrów na rs. 15,913 i w gminie Rszew na rs. 14,875. Najmniej pożyczek wydała kasa gm. Czarnocin, bo rs. 3,185. Wszystkie zaś one wydały pożyczek w r. 1889 na rs. 150,334, z tego zwrócono w ciągu tegoż roku 63,081 rs., na długach pozostało 87,250. Z procentów od pożyczek udzielonych członkom wpłynęło im w ciągu roku rs. 7,265 k. 19,

\*) Za poprzedniej redakcyi *Gaz. rad.* korzystała z biletów wolnej jazdy na drodze Dąbrowskiej, czego obecnie, ceniąc swą godność i niezależność, nie czyni. Tak wstret do futerałów na język, łagodzących ostrość sądu, godnym jest naśladowania. *Przyp. autora.*

z kar za nieregularne spłacanie — rs. 77 k. 86. Dochodu czystego w r. 1889 miały one rs. 3,614 kop. 38, od początku zaś działalności kas — rs. 29,380 kop. 58. W powiecie łaskim istnieje 15 gminnych kas zaliczkowo-wkładowych przy następujących gminach: Lutomiersk, Wodzirady, Bałucz, Łask, Buczków, Wola Wężykowa, Chociw, Wygieszów, Dąbrowa Rusecka, Widawa, Dłutów, Widzew, Górka Pabianicka, Pruszków i Zapolice. Wszystkie one razem posiadają kapitału zakładowego rs. 12,611 kop. 2; najmniejszy kapitał ma kasa w gminie Widzew (rs. 165 kop. 46), największy — kasa gminy Pruszków (rs. 2,126 kop. 21). Największy obrót za rok ubiegły wykazała kasa gm. Wygieszów (wydała pożyczek na rs. 9,051), następnie kasa gm. Wodzirady (rs. 8,539), w gminie Widzew (rs. 7,809) i w gminie Pruszków (rs. 7,784), najmniejszy gminy Bałucz (rs. 1,306). Ogółem wszystkie w roku ubiegłym wydały pożyczek na rs. 75,338, z czego uczestnicy kas zwrócili w ciągu roku rs. 30,968, na długach pozostało rs. 44,370. Z procentów od pożyczek wpłynęło rs. 3,692 kop. 92, z kar za nieregularne spłacanie — rs. 301 kop. 57. Dochodu czystego w 1889 roku kasy miały rs. 2,257 kop. 98, od początku zaś swego istnienia rs. 13,833 kop. 46. Szkoda, że nie zostały podane cyfry uczestników, a mielibyśmy jeszcze dokładniejszy obraz tych instytucyj wymienionych 28 gmin; poznalibyśmy lepiej zakres zwięzanej działalności żydów-lichwiarzów. Wszak ominęło ich 10,958 rs. i 11 k. odsetków od 325,669 rs. pożyczek, ominęło ich prawie jedenaście tysięcy podniesionych do kwadratu lichwy, a stało się to, jak widzimy, bez udziału praw wyjątkowych.

Tylokrotnie ganiony i odsyłany do krainy mrzonek projekt „Bazaru pracy kobiet” w Lublinie nareszcie stał się faktem 18 zeszłego miesiąca. Zawdzięcza on swój byt energii pań lubelskich. Sklep ten opiera się na spółce. Uczestniczek-założycielek jest 75, akcyje wynoszące po 25 rs. każda. Na pierwszy początek kapitał Bazaru składa się z 2,100 rs., które użyte zostały na wynajęcie sklepu, wykup patentu i zaopatrzenie się w towar. Firmę reprezentuje i zarazem stoi na czele zarządu 8 pań — pani Szymańska. Głównem zadaniem Bazaru jest zaopatrywanie spożywców w rzeczy codziennego użytku po cenach możliwie najtańszych. Przyjaciele tej nowej instytucyj kapitalistycznej zachęcają ją do skierowania swych umizgów w stronę chłopów, przybywających na targi lubelskie. Są to o najmniej zmiennych gustach spożywczy, a co najważniejsza — dostarczają oni od lat kilkunastu „pewnym sklepom” sporych zysków. My także radzimy Bazarowi obrócić oczy w tamtą stronę, a nuż będzie to jedna z dobrych sposobności „zwięzania pola działania” współzawodników obcej rasy... Prócz sprzedaży rzeczy gotowych, zakład „pragnie przyjść w pomoc” licznej masie robotnic. Są to zupełnie słabe ekonomicznie pracownice, bez kapitału i reklamy, zmuszone sprzedawać pracę za bezcen i, zwłaszcza w porze letniej, podlegające ciężkiemu bezrobociu. Bazar więc postanowił pośredniczyć pomiędzy robotnicami a publicznością, przyjmując wszelkie zamówienia na bieliznę, hafty, roboty koronkowe, szmuklerskie itp., albo też wskazując najzdolniejsze robotnice, któreby się obstarunkowi podjęły. Na samą wieść o tym zamiarze zgłosiło się mnóstwo robotnic z prośbą o pośredniczenie w pracy z nadzwyczaj skromnymi żądaniami co do płacy. Słowem, zakład znalazł się w niezmiernie wygodnych warunkach rynkowych i był swój trwały zawdzięczać będzie sprytowi wyzyskiwawczemu kierowniczek. Może też z czasem, doszedłszy do należytego rozwoju, potrafi osiągnąć i pobożne cele, charakteru filantropijnego: mianowicie założyć zalecaną niegdyś przez *Gaz. lubelską* szwalnię, w którejby biedne dziewczęta mogły mieć naukę bezpłatną, oraz zacząć dawać im później zaliczki na robo-



ty przyjęte w komis „z możliwie najniższym procentem?”

Nowa instytucja, Bank włościański dla Królestwa Polskiego, nie przestaje zafraso- wywać jego zwolenników. Oto co warszawski korespondent *Mosk. Wiedomości* pisze: „Poządana jest rzeczą, aby działalność tutej- szego banku włościańskiego była zupełnie wolną od wszelkiej interwencji lub kontroli miejscowego Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Jeżeli pozostanie choćby naj- mniejszy pozór do mieszania się tej osta- tniej instytucji, można z góry uważać całe przedsięwzięcie za chybione. Zamiast ob- darzenia ziemią tutejszych włościan bezrol- nych, których liczą od 700,000 — 1,000,000, lub powiększenia własności mniej zamo- żnych, stworzona zostanie czasowa wymia- na ziemi na chwilę niedogodną dla wielkich posiadaczy gruntowych. Skoro tylko wa- runki się zmieniają, skoro tylko gospodaro- wanie na roli stanie się zyskowniejszem, wtedy w ten lub ów zręczny sposób ziemia zacznie przechodzić z rąk włościan do da- wnych jej posiadaczy. O ile zaś używane są tutaj pewne sposoby, dowodzi fakt na- stępujący. Postanowienia komitetu organi- zacyjnego zezwalają, aby działy włościań- skie w rozmiarze 90 morgów otrzymywały po- życzkę z Towarzystwa kredytowego ziem- skiego. W ostatnich czasach urządzono na- stępującą sztuczkę... Pewien włościanin sku- puje u sąsiadów 90 morgów gruntu, a na- stępnie zwraca się do Towarzystwa o po- życzkę. Pożyczkę wydano i wniesiono do hypoteki, przyczem zapisano poniżej da- wnych właścicieli ziemi, którzy nie otrzy- mali jeszcze w całości pieniędzy, jako dłu- żników, zgodnie z przepisami Towarzystwa. Nowonabywca nie płaci wcale rat i wła- sność jego w terminie sprzedaną być musi przez licytację każdemu stojącemu do prze- targu. Utrzymał się przy licytacji żyd, któ- ry nabył grunty włościańskie za sumę To- warzystwa. Cała sztuczka była też pomy- ślem owego żyda, który podstawił chłopą i nabył ziemię za zwrotom pożyczki Towar- zystwa z doliczeniem drobnych procentów i kar.“ Sztuczka zostaje sobie sztuczką, ale tem niemniej jest jednym z klasycznych sposobów walki dużego kapitału z drobnym rolnikiem, nawet w granicach ochronnych więzów prawnych. Jesteśmy pewni, że choćby udało się dziś te szparę własności prywatnej zapchać odpowiednim przepisem prawnym, jutro znajdzie się inne. Działal- ność współczesnej organizacji gospodarczej jest tak silną, jak organizacja sama... Wą- tła „roślina inspektowa“ dużo jeszcze po- chłonie usiłowań, tak dużo, jak wyczerpanie stawu sił!”

Tak samo dużo inspekcja fabryczna zu- żyje jeszcze energii, zanim zdoła fabrykan- tów nakłonić do uszanowania przepisów bezpieczeństwa ogniowego w ich zakładach. Najlepszym dowodem jest p. Poznański w Łodzi. Przed paru tygodniami spaliła się jego przedziałnia, w której działało 50,000 wrzecion i pracowało 600 robotników. Po- zostwały inne oddziały fabryki przedział- niackiej, ale ponieważ sama przedziałnia już poszła z dymem, przeto, jak oblicza *Dziennik Łódzki*, pozbawionych zajęcia ro- botników zostanie aż 1,600! Straty p. Po- znańskiego rychło będą wrócone aż przez 5 towarzystw asekuracyjnych, ale najmi- ci, których on ukształtował i wyewentylował w przy- datnym dla siebie kierunku, a potem trzymał na uwierzyteli stosunku najemnego, dotkli- wiej odczują zmianę położenia. I z czego wynikał pożar? Z garści przędzy, rzucanej nieuważnie przez robotnika na płomień ga- zowy. Naturalnie, wina robotnika prawie jest żadna. Największą sprawczynią kata- strofy jest niedbałość samego p. P. Gdzie się gromadzi tak łatwo palny materiał, jak przędza, płomień zawsze winny być za- bezpieczone cylindrami, że już nie powiem, oświetlenie samo musi być elektrycznem. Oprócz tego zaniedbania, straż ochotnicza, która dokazywała cudów walczności w cza-

sie pożaru i uratowała od niechybnej śmier- ci jedenastu robotników, miała sposobność przekonać się, że w fabryce p. Poznańskie- go nie było ani drabin ratunkowych, ani okien niekratowanych, ani dostatecznej ilo- ści schodów.

Z. Atanazy.

## O PRAWDĘ.

### I.

„.....stosownie do praw rozwoju wogóle i do praw organizacji w szczególności, odbywał się i odbywa postęp w przystosowywaniu się ludz- kości do stanu społecznego, polegający na prze- kształcaniu się tego przystosowywania w kierun- ku zgodności idealnej. Wynikający stąd wniosek, pierwaj już wyprowadzony, powtarzam raz je- szcze tutaj: że człowiek ostatecznie rozwinięty takim będzie, iż w nim postęp ten o tyle się uja- wni, że wytworzy odpowiedność pomiędzy wszy- stkimi popędami natury jego a wszystkimi wy- maganiami jego życia, jako spędzania w społe- czeństwie. A jeżeli tak, to koniecznie stąd wyni- ka, iż istnieć musi idealny kodeks postępowania, zawierający przepisy zachowania się zupełnie przystosowanego człowieka w zupełnie rozwinię- tem społeczeństwie. Ten to właśnie kodeks nazy- wamy tu etyką bezwzględną....“ (H. Spencer: *Zosady etyki*, str. 256).

Szanowny Redaktorze! Z powodu, iż w osta- tnych czasach podnosić się zaczęły często różne głosy w pismach lekarskich i nielekarskich w spra- wie t. zw. *etyki lekarskiej*, raczcie i mój głos w Waszej *Prawdzie* umieścić. Nie znam wcale regulaminu t. zw. *etyki lekarskiej*, jednakże zgadzam się z Wami najzupełniej, że etyka owa, pojmowana według *Gazety lekarskiej* (n-ry 9 i 10 z r. b.) właściwie nie jest etyką, lecz raczej kodeksem światowym i koleżeńskim, czemś w ro- dzaju *savoir-vivre* dla lekarzy; a zatem z tego dałby się wyprowadzić wniosek następujący: po- nieważ kodeks światowy wogóle, tj. znajomość pewnych form towarzyskich, wcale nie jest obo- wiązującym dla wszystkich — jest bowiem wielu takich, którzy się bez niego wybornie obcho- dzą, a mimo to są zupełnie uczciwymi ludźmi — to i ko- deks lekarski, pojęty w sposób wyżej nadmie- niony, może być zgola niepotrzebnym. Inaczej zaś rzecz się przedstawia, jeśli pod t. zw. *etyką lekarską* rozumiemy będziemy *moralność* lekar- ską. Tak pojęta etyka musi i powinna być obo- wiązującą. Według niej każdy lekarz, czy to *mło- dy*, czy *stary*, powinien być moralnym i uczci- wym zarówno względem swych pacjentów, jako też i względem kolegów. A zatem uciekanie się do różnych środków i środków (tj. wszelkiego rodzaju reklamy, faktorów, protekcji, oczernia- nia kolegów itd.) w celu wyrobienia sobie prak- tyki, jest zgola nieetycznem i, jako takie, po- tępionem być winno.

Zdaniem mojem, lekarz każdy swój postępek ze stanowiska etycznego ocenić potrafi, a jeśli mieć będzie jakąkolwiek pod tym względem wą- pliwość, niech odczyta uważnie t. zw. *obietnicę*, którą dajemy po ukończeniu studiów uniwersy- teckich, a która jest wypisaną na odwrotnej stro- nie każdego dyplomu. Obietnica ta jest tak zna- komitą w swej prostocie, iż pozwolę ją sobie przytoczyć w całości: „Przyjmując z głęboką wdzięcznością dane mi przez naukę prawa leka- rza i pojmując ważność obowiązków, włożonych na mnie przez tę godność, obiecuję przez całe moje życie niczem nie skałać czci tego stanu, do którego obecnie wstępuję. Obiecuję w każdym czasie pomagać, o ile możliwości najlepiej, ucieka- jącym się do mej pomocy, zachowywać święcie powierzone mi tajemnice rodzinne i nie używać na złe okazanego mi zaufania. Obiecuję studio- wać naukę lekarską w dalszym ciągu i ze wszy- stkich sił swoich dopomagać jej rozwojowi, do- nosząc światowi naukowemu o wszystkim, co od- kryję. Obiecuję nie zajmować się przygotowywa- niem i sprzedażą środków sekretnych. Obiecuję być sprawiedliwym względem kolegów swych le- karzy i nie obrażać ich osobistości; wszakże,

gdyby to było z pożytkiem dla chorego, obiecuję mówić prawdę wprost i bez obłudy. W wypad- kach ważnych obiecuję uciekać się do rady leka- rzy więcej umiających ode mnie i doświadcze- nych; jeśli zaś sam będę wezwany na naradę, obiecuję według sumienia oddać sprawiedliwość ich staraniom i zasługom.“

W tej „obietnicy“ zawiera się *prawdziwa* etyka lekarska; żałować tylko należy, że nasza obietnica, niestety, po większej części pozostaje martwą literą!

Raczcie przyjąć wyrazy szacunku

Dr. F. N. Strzemińczyk.

### II.

Szanowny Panie!

Dziś dopiero przeczytałam w nr. 12 *Prawdy* z dnia 22 marca odpowiedź od Redakcji, *De- wajtisa* dotyczącą.

Powieści Urszuli Zöge Manteuffel p. t. *Mark Albrecht* nie znalazłam, i nie znam; o istnieniu Pani Manteuffel dotąd nie wiedziałam, o rażą- cem zaś podobieństwie *Marka* do *Dewajtisa* dowiaduję się dopiero z Pańskiego pisma.

Wobec dat i faktów, mogących obciążyć mnie zarzutem naśladowstwa, posyłam Szanownemu Panu niniejsze katagoryczne zapewnienie z uprzej- mą prośbą o umieszczenie w najbliższym numerze.

Z poważaniem

Maryja Rodziewicz.

Naturalnie zapewnienie p. Rodziewiczówny nie usuwa tych podobieństw między dwiema po- wieściami, które zaznaczyliśmy.

## KRONIKA.

### Bezrobocie aktorów.

Bezrobocie aktorów we Lwowie zakoń- czyło się zupełnem ich zwycięstwem i przy- jęciem przez dyrektora warunków prawdzi- wie sędzińskiej kapitulacji. Doprawdy tru- dno byłoby pojąć, dlaczego p. Szmitt wy- powiedział wojnę, którą ukoronował takim traktatem, gdyby Napoleon III nie za- świadczył swym przykładem, że więksi od dyrektora teatru lwowskiego robią podobne błędy. No, ale wreszcie ta bezkrwawa kam- pania, w której, zamiast prochu bezdym- nego, używano dymu bezprochowego, do- biegła do kresu. Życząc pogodzonym na przyszłość lepszych stosunków a p. Smit- towi więcej rozważli w rzucaniu rękawic, pozostaje nam już tylko pod adresem spra- wozdawców z pola bitwy przesłać następu- jącą, rozsądną uwagę lwowskiego kore- spondenta *Gazety warszawskiej*: „O jednak zrozumieć trudno, to tę część publiczności naszej, która dopominających się o ko- rzystniejsze warunki materialne aktorów darzy wiewcami, to prase, która zatarg po- między aktorami a przedsiębiorcą teatral- nym o gażę czy „feu“ czei mianem przesi- lenia i sążniste o tem zamieszcza artykuły. Nie mówię jeszcze, gdyby zatargi te odby- wały się w innym społeczeństwie. Tymcza- sem u nas tyle spraw rzeczywiście ważnych leży odlogiem, położenie nasze ekono- miczne jest wprost rozpaczliwe, pomiędzy lu- dnością wielu powiatów panuje głód i naj- straszliwsza nędza, a opinia publiczna zaj- muje się tem, czy p. Stanisława Pysznik- kówna lub p. Rygiel lepiej wyjdą na sta- lej gaży lub też na „feu“ projektowanem przez p. Szmitta? Zaiste, objaw ten byłby bardzo śmiesznym, gdyby jednocześnie nie był tak tragicznym.“

**Wiadomości społeczne.** Sale zarobkowe im. Staszy- ca rozwijają się pomyślnie. Między innemi otrzymały one niedawno znaczne zamówienia na dostawę odzieży i obuwia dla kilku szpitali miejscowych. Zakład zatrud- dnia dziś przeszło 30 stałych pensjonarzystów obojga płci, dając im całodzienne utrzymanie i część zarobku.



— Mieszkańcy okolic Wieruszowa (gub. kaliska) uskarżają się na brak robotników. Powodem jest wychodźstwo do Saksonii, skąd przysłano agentów, werbujących najemników do robót około plantacji buraków. Agentami są kobiety.

— W zeszłym tygodniu przedstawienie „Halki” w Teatrze Wielkim w Warszawie przyniosło szpitalowi na Pradze przeszło tysiąc rubli.

— Stowarzyszenie pracy kobiet w Petersburgu zamierza otworzyć Muzeum wyrobów kobiecych w różnych gałęziach przemysłu.

— Rząd niemiecki zgodził się na odłączenie urzędowe starokatolików od kościoła katolickiego.

— Krakowskie Towarzystwo opieki zdrowia, założone w roku zeszłym z inicjatywy dr. Henryka Jordana, liczy 458 członków. Organ Towarzystwa, *Przewodnik higieniczny*, liczy 817 abonentów.

— W Krakowie z zezwolenia namiestnictwa zostaje otwarta na nowo „Czytelnia akademicka.” Będzie ona pozostawać pod opieką senatu, który mianuje dla niej kuratora.

— Przeszło 20,000 czeladników mularskich urządziło w Wiedniu zmwę.

— W Goblenc (w północnych Czechach) robotnicy hut szklanych zawiesili roboty.

— W kopalniach Charleroi (Francja) wybuchła zmwowa górników.

— Zmowa w kopalniach węgla w okręgu górniczym Gelsenkirchen (Niemcy) skończyła się.

— W Iwaniskach pod Sandomierzem ma powstać stowarzyszenie spożywcze.

**Szkoły.** W instytucie komunikacji, według nowej ustawy, przywrócony zostaje pierwszy kurs, na który wolno będzie przyjmować 60 kandydatów i to takich, którzy skończyli gimnazya z medalami.

— W Wilkomierzu (gub. kowieńska) będzie otwarta średnia szkoła gospodarczo-techniczna.

— Ministerium oświaty ma rozstrzygnąć w tych czasach projekt zamknięcia w warszawskim okręgu naukowym kilku gimnazyów i otworzenia natomiast niezbędnej liczby szkół fachowych z funduszów pozostałych po zwinieniu. (*Warsz. Dziennik*).

— Pp. Helenie Kupińskiej i Emilii Goldmanowej wydano pozwolenie na otwarcie w Warszawie dwóch szkółek freblowskich.

— Ministerium dóbr państwa opracowało projekt specjalnych szkół jedwabniczych i hodowli wina.

— Studenci piotrowskiej Akademii rolniczej, należący do niższych stopni zapasu, zostają uwolnieni od ćwiczeń wojskowych, na zasadach przyjętych dla studentów wyższych zakładów naukowych ministerium oświaty.

— W Krakowie obradował w tych dniach zjazd nauczycieli szkół wyższych, na którym rozbiegano ważne sprawy reformy nauki i egzaminu w szkołach średnich, ubytku i małego uposażenia nauczycieli szkół wyższych itd.

— Władza naukowa udzieliła p. Poświkowej pozwolenie na otwarcie w Warszawie dla kobiet szkoły rzemiosł artystycznych i sztuki stosowanej.

— Personel nauczycielski w galicyjskich szkołach publicznych liczy przeszło 300 osób.

— Szkoła przemysłowa we Lwowie ma być otwarta we wrześniu r. b.

**Zdrowie publiczne.** Istnieje projekt zaprowadzenia we wszystkich większych miastach książeczek sanitarnych, w których lokatorowie będą mogli zapisywać skargi na dostrzeżone w domu wykroczenia przeciwko zdrowotności publicznej.

— Zarząd szpitala w Tworzech stara się wyjednać oddzielny przedział w wagonach 3-ej klasy dla obłąkanych.

— Będzie utworzona specjalna komisja, która się zajmie obmyśleniem środków, zapobiegających rozwojowi chorób zaraźliwych w okolicach Warszawy.

— Przy radzie lekarskiej ministerium spraw wewnętrznych utworzona została komisja, która się zajmie przerobieniem istniejącej obecnie ustawy lekarskiej.

— W Ciechocinku otwarty będzie w maju szpital dla 50 chorych. Oplata 60 kop. na dobę.

**Wiadomości administracyjne.** Ministerium skarbu poruszyło sprawę przejrzenia podatków gruntowych w Królestwie Polskim. Przekształcenie ich, polegające na zastąpieniu różnych drobnych poborów podatkiem gruntowym, unormowanym stosunkowo do wartości i intraty gruntów i użytków, uskuteczniłom było jeszcze za Milutina, przyczem prawo orzekło, że po upływie pewnych okresów czasu wysokość podatków gruntowych ulegać ma rewizji i zmianie, stosownie do

cen i dochodów własności ziemskiej w całych powiatach. Dotychczas jednak podatki gruntowe nie były rewidowane, pomimo że intratność gruntu w kraju powiększyła się kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat 20. Również w r. 1868 wydano przepisy czasowe, dotyczące miejscowego opodatkowania poborami gminnymi po wsiach i miastach. Praktyka, jak sądził *Peł. Wied.*, dawno już wykazała niewłaściwość systemu ponoszenia tych opłat, a jednak przepisy czasowe zamienili się na stałe. Wobec tego postanowiono przejrzeć pierwsze i drugie.

— Wkrótce rozsyłana będzie do inspektorów fabrycznych instrukcja w sprawie pracy małoletnich i kobiet w fabrykach.

— Ministerium spraw wewnętrznych opracowywa projekt powiększenia kaucyj, wymaganych od właścicieli lombardów prywatnych.

**Przemysł.** W Sielcu, w gwarectwie Kramsty wykończono w tych dniach wielki piec, należący do Towarzystwa „Laura und Königshütte.” Dostarczać on będzie rocznie około 1 i pół miliona pudów surowca.

— **Ogrodnik polski** zachęca właścicieli ogrodów do hodowania śliwek węgerek w kraju na wielką skalę. Przetrwają z nich możnaby sprzedawać do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, gdzie hodowla śliwek nieudaje się z powodu nieprzyjanych warunków klimatycznych.

— Mieszkańcy w Bucharze p. Julian Janczewski utrzymuje, że rynki Kaukazu i okolic Samarkandy nie przedstawiają korzystnych widoków dla wyrobów przemysłu warszawskiego, są bowiem opanowane przez ormlan. Natomiast bardzo podatnym polem ma być Turkestan. Brak tam wszystkiego; spółka przemysłowców, zakładając bazar wyrobów przemysłu polskiego w Karky nad Amu Daryą, otworzyłaby sobie, zdaniem p. J., obfite źródło dochodów. Kilkanaście tysięcy rubli wystarczyłoby do opanowania rynków handlowych.

**Rolnictwo.** W powiecie stopnickim w ostatnich latach dziesięciu właściciele zakupili drobnymi działkami przeszło 29 majątków.

— Komisja obradująca nad sposobami przyjęcia z pomocą rolnictwu, ukończyła już swe zajęcia. Jednym z głównych środków ma być utworzenie taniego kredytu.

— W sferach rządowych poruszono myśl, aby rolnicy, używający do gospodarstwa starych maszyn parowych, uwolnieni byli od konieczności wykupowania świadectwa gildyjnego, co było dotychczas obowiązującym.

**Sprawy kolejowe.** Główne Towarzystwo ruskich dróg żelaznych na ważniejszych stacjach wszystkich swoich linii zamierza w ciągu nadchodzącego lata rozszerzyć składy dla przechowywania zboża.

— Departament kolejowy orzekł, że może zgodzić się na propozycję wykupu kolei Bydgoskiej i podzielić równy zysków po nad 6 rs. dywidendy, lecz z pominięciem warunku usunięcia stosowania prawa taryfowego i z pozwoleniem na konwersję obligacji, z tem jednak zastrzeżeniem, że nowe obligacje nie będą uwolnione od podatku kuponowego.

**Literatura.** Redakcja *Kolców* ogłasza, iż postanowiwszy wydać jednodniówkę humorystyczną pod tytułem „Na garnuszek,” na korzyść niemowląt pozbawionych rodziny, i otrzymawszy na to pozwolenie, prosi pracowników pióra i ołówka o przyjęcie udziału w wydawnictwie i nadsyłanie prac do 24 b. m. pod adresem: Redakcja *Kolców*, ul. Niecała, 12. Rysunki mogą być wykonane na kalce, blasze cynkowej lub papierze Angerera (szerokość 8 cali, długość 11). Rękopisy na 20—30 wierszy druku.

— Rabin, dr. N. Brüll we Frankfurcie n. M. rozpoczął wydawnictwo dwumiesięcznika *Central-Anzeiger für jüdische Literatur*.

**Zmarli.** Armand de Portmartin; dziennikarz, fejletonista *Gazette de France*. Krytyk-legitymista.

— Dr. Józef v. Held, prof. wszechniczy w Würzburgu, prawnik i publicysta.

— Paweł Andrejewskij, b. wydawca i redaktor gazety kijowskiej *Zaria*, która zmieniła tytuł na *Kiewskoje Słowo*.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*W. W.* Myślisz dobrze, oprawa ich tu i owdzie misterna, ale zarazem wiele wyrażen ułomnych: „niech zgoda

walkę zamieni,” „dziecięciem ujrza(em)” itp. Przytem treść pierwszego fragmentu niejasna.

*Panu F. w Krak.* Przepraszamy za spóźnienie odpowiedzi. To nie utwór artystyczny, ale opowiedziany figiel.

*P. M. P. w Kijowie.* Być może, iż Pan kiedyś będzie mógł po Parnasie biegać, ale to pewna, że dziś nieumie Pan jeszcze chodzić. Bo czyż podobna mówić o cnotach poetycznych wiersza, w którym znajdują się takie grzechy gramatyczne: żadziej, w te porę życie wrę, wzgórze wyszli, żurawie, tyłę, większość itp.

*Pani Fel. Kow. w Piotr.* Adres: Muzeum pszczelnicze.

*P. Ad. Zasz. w Krak.* Spis naszych wydawnictw powtarzamy często w numerach *Prawdy*. Co do wydawnictwa im. J. nabyć je można w każdej zasobniejszej księgarni.

*Société des Etudiants de l'Université* w Genewie udziela wszelkich informacji kobietom pragnącym uczęszczać na uniwersytety.

*Panu S. P. w Tyflisie.* Właśnie że uzyskanem być nie może i w tem tkwi rozwiązanie zagadki.

*Panu Kr. w Jekat.* Podręcznika do nauki stolarstwa nie znamy i nie znaleźliśmy.

**Uwaga.** Redakcyja rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

## O g ł o s z e n i a.

Księgarnia Centnerszwera, posiadająca ostatek nakładu *Historii materjalizmu A. Langego* (w przekładzie A. Świętochowskiego i F. Jezierskiego) dla abonentów *Prawdy* zniżyła cenę obu tomów tego dzieła z rubli sześciu na rs. 2 k. 50 (z przesyłką pocztową rs. 3 k. 50). Zaledwie potrzebujemy dodawać, że dzieło pozostaje dotąd książką wartościową i klasyczną w swym przedmiocie.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim** ogłasza niniejszem dla pp. artystów malarzy **Konkurs imienia Wojciecha Gersona** na obraz **historyczny** (religia, historia, allegorya, mitologia), wykonany w ciągu trzech lat ostatnich i któryby nie znajdował się czy to na wystawie Towarzystwa, czy na innej wystawie w Warszawie. Nie kwalifikują się do konkursu wszelkie kopie, tudzież kompozycje autorów zmarłych na trzy lata przed 1 stycznia 1891 r.

Życzący stanąć do konkursu, winien nadesłać Komitetowi Towarzystwa przed 15 grudnia r. b. deklarację w formie listu z wymienieniem tytułu obrazu, imienia i nazwiska i dokładnego swojego adresu. Obrazy winny być nadesłane do lokalu Towarzystwa najpóźniej dnia 30 grudnia r. b. Przed rozstrzygnięciem konkursu obrazy podlegają rewizji cenzury rządowej.

Autor obrazu, uznanego przez Komitet Towarzystwa wspólnie z profesorem Gersonem, za najlepszy, otrzyma w nagrodę rubli sześćset. Obrazy nadesłane i przyjęte na konkurs pozostawać będą na wystawie Towarzystwa przez tygodni sześć.

## Wydawnictwa „Prawdy.”

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tłum. K. Lewald — rs. 6.

**Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczy niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłum. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Spółczesność zwierzęca**, wraz z dodatkami ogólnych dzieł socjologii — rs. 3.

**Uwaga.** Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny. Na koszt przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. **Spółczesność pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacji, przekład A. Bakowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.



# Magazyn Mebli MAKSYMILJANA KALMUS

w Warszawie, Grzybowska 37,

poleca:

Różnego rodzaju Meble, poczynsz od najskromniejszych do najwykwintniejszych — stylowych.

Przyjmuje również zamówienia na kompletne urządzenia mieszkań.

## NATURALNE WIŃA

Węgierskie, Francuskie czerwone i białe od rs. 1 za butelkę, Hiszpańskie, Burgundzkie, Reńskie, Szampańskie, Koniaki, Rummy, Likieri i Śliwowie zagraniczne odstaje, **Starke**, poleca

Handel Win, Delikatesów i Towarów kolonialnych  
**H. Drzewieckiego i Sp.**

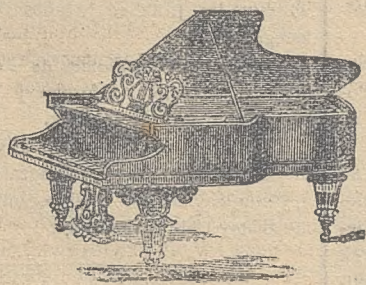
Mazowiecka Nr. 1, gdzie dawniej St. Riedel.

W pokojach przy Handlu wydawane są śniadania i kolacje à la Carte.

## GEBETHNER i WOLFF NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Fortepianów i Pianin

Sprzedż  
na raty.



Wynajem  
instrumentów.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

## Biuro Bankowe Administracji „Gazety Losowań,” Krakowskie-Przedmieście (Nr. 51).

załatwia wszelkie operacje pieniężne za komisowem 10/100 (jednego rubla od tysiąca). Biuro kupuje i sprzedaje papiery publiczne, banknoty i monety zagraniczne, udziela zaliczeń na papiery do 95% wartości kursowej, asekuruje Pożyczki premiove, realizuje wylosowane papiery oraz niepłatne kupony, otwiera rachunki bieżące. Mając swych korespondentów we wszystkich główniejszych miastach oraz w stacyach klimatycznych i kuracyjnych, Biuro wydaje przekazy do tych miejscowości nawet drogą telegraficzną.

Wszystkich Informacyj o wylosowanych papierach, dywidendach i innych kwestyach finansowych, Biuro udziela bezpłatnie.

Adres: „GAZETA LOSOWAŃ,” WARSZAWA.

Bieleńska Nr. 9,  
Hotel Paryzki.

Józef Świątkowski  
SZEWC,  
poleca  
WYBÓR OBUWIA  
Damskiego, Męskiego  
i Dziecinnego.

Ceny umiarkowane.



Podana przez SMOŁĘ przechwała, jak kilkakrotnie wykazałem, jest tylko BLAGA, opartą na własnej reklamie dla zło-wienia świeżego współnika.

## JAN LAUTERBACH

ZEGARMISTRZ,  
143, Marszałkowska 143,  
poleca:



Znaczny skład zegarów i zegarków, wyłącznie z pierwszorzędných fabryk, oraz wielki wybór dewizek złotych, srebrnych i imitacyjnych.

Sprzedż i reperacya z 2-letniem poręczeniem.

Uwaga. Wejście do sklepu z bramy 143, Marszałkowska 143.

F. Drechsler  
Warszawa,  
Leszno 14.



ROWERY od rs. 125—250.  
BICYKLE od rs. 100—220.

Używane welocypedy od rs. 50.

Wyszło w Paryżu i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

## Winiarski Leon „STOSUNKI SPOŁECZNE W ANGLII.”

Cena kop. 50, z przesyłką kop. 55.

Skład główny w księgarni G. CENTNERSZWER, Marszałkowska 147.



Lepszy na cele lecznicze, niż Koniaki francuskie, z których największa część z powodu wyniszczenia winnic przez filokserę, tworzy się ze spirytusu kartoflanego.

Tańszy, gdyż nie ciąży na takowym wysokim cenie i transport około 2 rs. z butelki, otrzymać można wyłącznie w Składzie Win BRACI KEMPNERÓW Długa Nr. 5.

Cena: 1/1 but. rs. 1,50, 1/2 k. 80, 1/4 k. 40. Skrzynki po 6 butelek wysyłają się do wszystkich St. Dr. Z. franco w Królestwie po rs. 9.

## Żelony Uniwersyteckie

przygotował Zakład Optyczno-Mechaniczny Juliana Drehera, Szpitalna Nr. 6.

Ceny najniższe.

## „Na Raty” Lustra

sprzedaje miejscowym i na prowincye  
Fabryka zwierciadeł

MAURYCEGO Silberberga

8, Rymarska, 8.

UWAGA. Upraszam się o łaskawe zwrócenie uwagi na dokładny adres z powodu istniejących firm podobnych i na umieszczony w wystawie napis „Na raty.”

## Księgarnia, Skład Nut i CZYTELNA

Juljana Guranowskiego

Senatorska 32,

załatwia jak najskrupulatniej wszelkie czynności w zakresie księgarstwa wchodzące. Zamówienia z prowincji za zaliczeniem pocztowem.

## Sprzedż

Płótna, Barchanu, Perkalu i Bieleziny damskiej

Hoża Nr. 14, B. R. Jabłkowski.

Binokle, Okulary LORNETKI

oraz wszelkie wyroby optyczne o 25% taniej u optyka

JULIANA DREHERA

Szpitalna 6, w Warszawie.

Wszelkie reperacye przyjmuje.

„TYSIĄCE ŚWIADECTW!”  
PEWNY ŚRODEK  
**EXSICCATOR**  
OSUSZA WILGOC.  
ZABEZPIECZA DRZEWO  
WOOD GNICIA, GRZYB  
KATAP — BROSZUR  
KA ILUSTROWANA —  
BEZPŁATNIE.  
POSZUKUJE  
AGENTÓW.  
Wyn. Inż. G. Ritter.  
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Preparatu tego nie należy porównywać z reklamowanymi smołami, vel gudronitami.